

**NOWA KONFEDERACJA**

INTERNETOWY MIESIĘCZNIK IDEI

nr 7(85)/2017

5 lipca—1 sierpnia

cena: 0 zł



# LIBERALIZM KONTRA DEMOKRACJA

**W numerze:****Turboliberalizm vs. hiperdemokracja**

Bartłomiej Radziejewski. .... 3

**Demokracja i liberalizm: związek nieoczywisty**

Damian Maziarz ..... 14

**Interesy europejskie istnieją**

Z prof. Bogdanem Góralczykiem rozmawia Anna Kiljan ..... 21

**Przestać być masą**

Stefan Sękowski. .... 25

**Centrala nie rozwiąże problemów lokalnych**

Z Elżbietą Hibner rozmawia Jarema Piekutowski ..... 30

**Dużo teatru, trochę nadziei**

Roman Graczyk ..... 35

**O Rosji bez znieczulenia**

Filip Memches ..... 39

**W poszukiwaniu elit percepcyjnych**

Rafał Matyja ..... 44

**Przed wojną**

Kamil Sasal ..... 48

**Muzeum Drugiej Wojny Światowej: opowieść uczciwa**

Łukasz Warzecha. .... 53

# Turboliberalizm vs. hiperdemokracja



**BARTŁOMIEJ RADZIEJEWSKI**

Redaktor naczelny „Nowej Konfederacji”

**Wybieramy dziś między opcjami naprawdę złymi: zbuntowanymi elitami a zbuntowanymi masami. Dobra przyszłość nie kryje się za rządami żadnej z nich**

To, że liberalna demokracja jest dziś rozdzierana przez nowy rodzaj politycznego konfliktu, jest już rzeczą oczywistą. Sukcesy Orbana, Trumpa czy Kaczyńskiego, zatrzymanie marszu po władzę Wildersa czy Le Pen poprzez przejęcie części ich haseł przez polityków głównego nurtu – są niezaprzeczalnymi znakami nowego podziału. Próbowano go już opisać na różne sposoby (wrócimy do tego), żaden nie chwyta jednak istoty rzeczy. To, z czym mamy do czynienia, jest zderzeniem dwóch żywiołów założycielskich „najlepszego z istniejących ustrojów”: liberalizmu i demokracji. W postaciach dalece różnych od klasycznych wersji tych nurtów, ale będących ich ewidentnymi kontynuacjami. Ściślej rzecz biorąc, obserwujemy konflikt turboliberalizmu z hiperdemokracją.

## **Ochrona mniejszości i władza większości**

Zapominanie o rzeczach oczywistych i fundamentalnych jest jedną z bardziej niepokojących tendencji cywilizacyjnych. Po-

śród wielu spraw, które podległy zbiorowej amnezji, najważniejszy jest w niniejszym kontekście fakt, że splot liberalizmu z demokracją jest fenomenem historycznym, nieoczywistym i niekoniecznym. Dość wspomnieć, że traktowane dziś już niemal jak powietrze powszechne prawo wyborcze zostało w XIX i XX w. wprowadzone w większości krajów zachodnich na ogół wbrew liberałom, opowiadającym się za zachowaniem jakiejś formy cenzusu majątkowego. Nawet jeśli tamten spór nigdy nie odzyska aktualności, żywioły te dzieli na tyle dużo, że traktowanie ich jako nierozdzielnej całości jest błędem z gatunku podstawowych.

Z instytucji i wartości uznawanych dziś domyślnie za „demokratyczne” walna ich część – w tym państwo prawa, rządy konstytucyjne, trójpodział władzy, gwarancje własności i wolności – mają rodowód republikański lub liberalny. Wraz z zapomnieniem – ostatnio dopiero przypominanego – dziedzictwa republikańskiego i stopniowym przejmowaniem ich przez liberałów doszliśmy do stanu, w któ-

rym konflikt liberalno-demokratyczny umiejscawia je po stronie liberalizmu.

Przede wszystkim te dwa długo splecione żywioły dzieli zupełnie różne rozumienie wolności i państwa. Dla liberałów wolność jest przede wszystkim negatywna, „od”: to, w sensie politycznym, zasada nieingerencji w życie jednostki, której indywidualność leży w samym centrum tej ideologii. W znaczeniu najbardziej ogólnym wolność realizuje się w sferze prywatnej, poprzez rozwój osoby, swobodne

**Współczesna rzeczywistość zachodnia jest na wskroś liberalna, tak jako międzynarodowy ład polityczny i gospodarczy, jak i jako wewnętrzny ustrój państw**

korzystanie z własności. Wolność „do” ogranicza się właściwie do zgodnego z indywidualnym interesem zrzeszania się i do wyboru oraz kontroli władz. Co za tym idzie, państwo jest dla liberała takim samym związkiem, jak inne: efektem swobodnego kontraktu, powoływanego i odwoływanego jak każdy inny. Nie ma w nim nic metafizycznego, godnego poświęcenia życia, relacje z państwem ocenia on w kategoriach zysków i strat, jak wszystko. Jeśli więc liberał angażuje się w sprawę publiczną, to po to, by zadbać o prawną ochronę prywatnej wolności i własności.

Inaczej demokrata: dla niego wolność jest przede wszystkim „do”: to władza, możliwość wpływu na sprawy publiczne. Dlatego forsował, zgodnie z zasadą „równi

w wolności”, powszechne prawo wyborcze i forsuje poddanie wpływowi ludu kolejnych spraw. Świat jest dla niego zawsze zbyt hierarchiczny, elitarny, nieprzejrzysty. Rozwiązanie jest proste: poddać każdą sferę życia co najmniej demokratycznej kontroli, a najlepiej władzy większości.

Mówiąc skrótem, w praktycznej polityce liberalizm skupia się na zinstytucjonalizowanej ochronie jednostek i mniejszości, podczas gdy demokracja dba o rządy większości. Dokładniej relacje między tymi żywiołami analizuje w tym wydaniu „Nowej Konfederacji” Damian Maziarz, warto też sięgnąć w tym kontekście do eseju prof. Zbigniewa Stawrowskiego „Liberalizm a demokracja”.

**Wszędzie liberałowie**

Na naszych oczach nurty te ponownie się rozdzieliły i znalazły ze sobą w konflikcie. I Trump, i Orban, i Kaczyński, i Corbyn, i Le Pen występują przeciwko liberalnemu porządkowi w imieniu pokrzywdzonych przez nie mas, powołując się na zasadę demokratyczną: wolę ludu. Krytykują nierówny podział bogactwa, „knowania w zaciszu gabinetów”, oligarchizację, rządy „towarzystwa” i tak dalej. Kwestionują sprawy uznawane od dawna za ostatecznie rozstrzygnięte, jak multikulturalizm, walkę z globalnym ociepleniem, pozycję ustrojową sądów, reguły międzynarodowego handlu, łamiąc tym samym wieloletni konsensus elit. Te ostatnie określają jako zdeprawowane, skorumpowane, leniwe, egoistyczne, wsobne, zapowiadając lub przeprowadzając radykalne zmiany w składzie establishmentu.

Oczywiście, słowo „liberalizm” ma mnóstwo różnych znaczeń, często wzajemnie się wykluczających. Ważne jednak, żeby niuanse nie przesłoniły nam ogólnego

obrazu. Współczesna rzeczywistość zachodnia jest na wskroś liberalna, tak jako międzynarodowy ład polityczny i gospodarczy, jak i jako wewnętrzny ustrój państw. Ba, jako dominująca kultura, podstawowy model relacji międzyludzkich, *par excellence* indywidualistyczny i kontraktualistyczny. Główne spory ostatnich kilkudziesięciu lat toczyły się między liberalną lewicą, liberalną prawicą, liberalnym centrum. Wiecznie „nieliczni” i narzekający na niezrozumienie swoich wysublimowanych idei liberałowie uzyskali w kolejnych dekadach drugiej połowy XX w. przemożny wpływ na prawie wszystkie dziedziny życia i nurty polityczne. Nie chodzi oczywiście o wyniki wyborcze niemieckiej FDP czy polskiej Unii Wolności. Takie rozumowanie byłoby patrzeniem na drzewa i niewidzeniem lasu. Rzecz w regułach gry, takich jak prymat prawa międzynarodowego i wolnego handlu w stosunkach między państwami, a w ich obrębie: liberalnych zasad ustrojowych, z kapitalizmem i pluralistycznym systemem politycznym na czele. Na tym, generalnym poziomie, światowa hegemonia liberalizmu jest oczywista.

Ale rzeczywistość, przeciwko której występuje nowa fala (hiper)demokratów, to coś więcej i mniej jednocześnie. Więcej, bo rosnący w ostatnich dekadach katalog spraw „poza dyskusją”, oprócz zasad dla każdego liberała kardynalnych, obejmował coraz to nowe kwestie, które dla klasyków liberalizmu (mających i dziś swoich zwolenników) były co najmniej nieoczywiste, niekiedy nieistotne lub nieznanne. Dość wymienić przekazywanie kolejnych kompetencji suwerennych państw międzynarodowym organizacjom i instytucjom na skalę wcześniej nieznaną, bezprecedensową intensyfikację (połączoną, co trzeba dodać, z bezprecedensową regulacją)

handlu międzynarodowego, politykę klimatyczną, prawa mniejszości seksualnych. Nienotowana nigdy wcześniej głęboka i skala globalizacji umożliwiła osiąganie zgody – lub zmywy – elit w skali interkontynentalnej. Przedmiotem konsensusu stawały się kolejne kwestie, dawniej przedmioty żywiołowych sporów, w których posiadanie zdania odrębnego coraz częściej eliminowało z „poważnej” i „odpowiedzialnej” dyskusji. Debaty publiczne stawały się coraz bardziej rozestetyzowane, kolejne sprawy merytoryczne usuwano poza pole widzenia demokratycznej publiczności jako techniczne, przeznaczone dla ekspertów, skoro kierunkowe decyzje, tak oczywiste, już podjęto. Inaczej mówiąc, nastąpiła głęboka depolityzacja demokracji liberalnej, połączona z jej osobliwą (jak zobaczymy wkrótce) elitaryzacją.

### **Smith łapie się za głowę**

Niezaprzeczalne i bezprecedensowe sukcesy gospodarcze zachodniego modelu rozwoju w drugiej połowie XX w. wzmacniały legitymację elit i przekonywały je same o słuszności ich postępowania, w tym coraz częstszego i ściślejszego zamykania się w sobie i spychania krytyków na margines w przekonaniu, że im bardziej będą radykalni, tym mniej groźni. Warto też pamiętać, że do 2008 r. śmieszna dziś wiara w „koniec historii” i „wieczny pokój” były niemalże dogmatami debaty publicznej. Zachód i jego sojusznicy mieli się dalej szybko bogacić, a liberalne instytucje wolniej lub szybciej rozprzestrzeniać po świecie, przekształcając z czasem planetę Ziemia w jeden wielki system pokoju i dobrobytu.

Było to także coś znacznie mniej od klasycznego liberalizmu. Można zaryzykować tezę, że Johnowi Locke’owi, Ada-

mowi Smithowi i Hugonowi Grocjuszowi do głowy by nie przyszło, że liberalnym można nazywać porządek, w którym „wolny handel” oznacza tysiące stron regulacji, tak dalekie oddzielenie władzy od odpowiedzialności, tak ścisłą reglamentację debaty. A jednak. Oto turboliberalizm:

**Można zaryzykować tezę, że Johnowi Locke’owi, Adamowi Smithowi i Hugonowi Grocjuszowi do głowy by nie przyszło, że liberalnym można nazywać porządek, w którym „wolny handel” oznacza tysiące stron regulacji, tak dalekie oddzielenie władzy od odpowiedzialności, tak ścisłą reglamentację debaty**

przekształcona, pod pewnymi względami zradykalizowana, pod innymi wybrakowana wersja swojego przodka. Jego specyfika to, aby podsumować, bardzo daleko posunięty paternalizm wobec mas (traktowanych raczej jak tworzywo do obróbki niż suweren), kosmopolityzm, akceptacja rozdziału władzy od odpowiedzialności i rządów międzynarodowych instytucji i elit, entuzjastyczne poparcie dla globalizacji, w tym dekonstrukcji tradycyjnych wspólnot, z narodami na czele.

Kryzys finansowy, wojny w Gruzji i na Ukrainie obaliły turboliberalne dogmaty, ośmieszyły dominujące elity za-

chodnie i radykalnie zmniejszyły dopływ pieniądza. W świecie recesji lub niemrawego wzrostu ratowanie „zbyt dużych by upaść” kosztem zwykłych ludzi, astronomiczne premie dla bankierów, rosnące nierówności społeczne, przepływy kapitału z peryferii do centrum – wszystkie od dawna znane – zaczęły wyglądać inaczej. Supremocystwowa retoryka unijnych liderów w połączeniu z klęskami w najbliższym otoczeniu geopolitycznym niepostrzeżenie stała się groteskowa. Samozadowolenie, fraternizacja i protekcyjny ton tak bardzo zgadzających się ze sobą „towarzystw” z różnych stron scen politycznych i zakątków świata – zaczęły oburzać.

#### **Masy znów się buntują**

Błądzić jest rzeczą ludzką. Jednak fakt, że turboliberalne elity w odpowiedzi na to wszystko powtarzały przez kolejne lata zdezaktualizowane formułki z poprzedniej epoki – okazując następnie bezbrzeżne zaskoczenie wzbierającą w 7-8 lat po krytycznym roku 2008 falą populizmu, teraz dopiero zaczynając się zastanawiać nad przyczynami – jest ich kompromitacją. Postulaty antyestablishmentowe są więc zasadne. Tyle tylko, że coraz częściej widzimy, że lekarstwo okazuje się w najlepszym razie nie lepsze od choroby. Dlaczego?

Tak jak upadający na naszych oczach konsensus elit nie był po prostu liberalny, ale turboliberalny, ze wszystkimi tego konsekwencjami, tak reakcja na niego nie jest zwyczajnie demokratyczna, lecz w znacznej mierze hiperdemokratyczna. Termin ten ukuł słynny hiszpański filozof Jose Ortega y Gasset w roku 1930. W klasycznym „Buncie mas” pisał tak: „Obecnie jesteśmy świadkami tryumfu hiperdemo-

kracji, w ramach której masy działają bezpośrednio, nie zważając na normy prawne, za pomocą nacisku fizycznego i materialnego, narzucając wszystkim swoje aspiracje i upodobania. Fałszem jest interpretowanie nowej sytuacji jako takiej, w której masy, zmęczone polityką, składają jej prowadzenie w ręce ludzi o szczególnych w tym kierunku uzdolnieniach. Wręcz odwrotnie. Tak było przedtem, była to demokracja liberalna.

**Wątpię, czy udałoby się znaleźć w dziejach jakiś inny okres, w którym tłum sprawowałby władzę w sposób tak bezpośredni, jak w naszych czasach**

Masy zakładały mniej lub bardziej chętnie, że mniejszość dzierżąca władzę polityczną, mimo wszystkich swych wad i słabości, zna się jednak nieco lepiej na sprawach publicznych. Dzisiaj natomiast masy są przekonane o tym, że mają prawo nadawać moc prawną i narzucać innym swoje, zrodzone w kawiarniach, racje. Wątpię, czy udałoby się znaleźć w dziejach jakiś inny okres, w którym tłum sprawowałby władzę w sposób tak bezpośredni jak w naszych czasach. Dlatego też występujące obecnie zjawisko nazywam hiperdemokracją”.

Oczywiście, mamy dziś zupełnie inne czasy i obecna hiperdemokracja także jest pod wieloma względami inna od ówczesnej. Wrócimy do tego. Jednak ponownie, biorąc w nawias szczegóły i skupiając się na istocie, diagnoza Ortegi jest zdumiewająco aktualna. Obserwujemy po prostu

powrót pewnej potężnej tendencji cywilizacyjnej w nowej postaci i w odpowiedzi na nowe problemy, ale co do istoty – tej samej. I tak, jak w wieku poprzednim jest ona złą odpowiedzią na dobre pytanie, fatalnym rozwiązaniem prawdziwego problemu, niewłaściwym lekarstwem na dotkliwą chorobę.

**Zadufany paniczyk**

Można spytać, jak ma się powyższy wywód do dobrze już opisanego zjawiska demokratyzacji kolejnych dziedzin życia w latach, które przedstawiam tu jako triumfalny pochód turboliberalizmu. Przecież różni autorzy celnie diagnozowali fatalne konsekwencje postępów demokratyzacji kultury, rodzin, szkół czy debaty publicznej, pokazując, jak dotkliwie osłabiły one zachodnie społeczeństwa poprzez destrukcję autorytetów, osłabienie instytucji, obniżenie standardów, promocję miernoty. Jeśli to wszystko prawda, to jak można twierdzić, że obserwujemy właśnie erupcję długo tłumionej, zwulgaryzowanej tendencji demokratycznej?

Odpowiedź jest prosta, uzasadnienie złożone: to pozorna sprzeczność. Prawdą jest, że w XX w., zwłaszcza w drugiej jego połowie, zjawiska liberalizacji i demokratyzacji – te dwa czołowe żywioły naszych czasów – zachodziły równolegle. Dotyczyły jednak różnych dziedzin życia w różnym stopniu. Podczas gdy jedne się liberalizowały, inne podlegały demokratyzacji, jeszcze inne obu tym tendencjom jednocześnie. Tak jak w rywalizacji mocarstw często można zaobserwować równoległe triumfy jednego w pewnych dziedzinach, a drugiego w innych, tak demokratyczna ekspansja w określonych sferach nie leży w sprzeczności ze zwycięstwem odmiennej tendencji w drugich. W ten sposób, przy-

kładowo, demokratyzacja elitarnych szkół mogła zajść w tym samym czasie, w którym pole debaty publicznej stawało się coraz bardziej ekskluzywne w złym, turboliberalnym tego słowa znaczeniu. Żeby pojąć to lepiej, musimy przyjrzeć się cyklowi naprzemiennych buntów mas i elit.

W swoim płomiennym eseju Ortega opisał powstanie człowieka masowego, zrodzonego przez połączenie liberalnej demokracji, gwałtownego wzrostu dobrobytu i eksplozji demograficznej, dostrzegając w nim śmiertelnie groźnego dla europejskiej cywilizacji nowoczesnego barbarzyńcę. Jego mentalność i postawę wyjaśnia metafora „zadufanego paniczyka” – dumnego dziedzica wspaniałej cywilizacji, obracającego ją w niwecz swoim niezrozumieniem dla konieczności pielęgnacji jej kruchych podstaw. To rozpuszczone dziecko nowoczesnego świata, otrzymując w spadku ogromne bogactwo, trwoni je beztróskowo w przeświadczeniu, że jest dane raz na zawsze. Sam nie wiedząc dlaczego, „zadufany paniczyk” żywi przekonanie, że posiada wszelkie możliwe prawa i żadnych obowiązków, a jego nastawienie do świata cechuje połączenie dążenia do niczym nieskrępowanej ekspansji życiowej, do coraz pełniejszej realizacji swoich stale rosnących potrzeb z całkowitym brakiem wdzięczności dla tych, którzy ową ekspansję umożliwili.

Sposobem politycznego działania człowieka masowego jest hiperdemokratyczna „akcja bezpośrednia”: nie liczące się ani z procedurami, ani z rygorami prawdy i racjonalnej debaty narzucanie swoich przekonań reszcie. Było to motorem napędowym totalitaryzmów: Lenin, Mussolini, Hitler byli hiperdemokratami. Jednak ich reżimy upadły, a wyczekiwany przez Ortegę „generalny atak” na pozycje

człowieka masowego został częściowo przeprowadzony. Przybrał postać powojennego konstytucjonalizmu, delegalizującego totalitarne ideologie, radykalnie utrudniającego koncentrację władzy w jednych rękach, ustanawiającego mocniejsze gwarancje wolności i pluralizmu politycznego.

## Rozbrat władzy i polityki

Sprawy zaszyły jeszcze dalej – nawet jeśli nie miało to już wiele wspólnego ze świadomym zwalczaniem nowoczesnego barbarzyństwa – wraz z kształtowaniem się nowego porządku międzynarodowego, określanego często jako „postwestfalski” czy „postsuwerenny”. Transfer znacznej części kompetencji zastrzeżonych dotąd dla państw w ręce organizacji i instytucji międzynarodowych, narodziny globalnych korporacji, nieraz bogatszych niż państwa, do niedawna będąca obszarem spiskowych spekulacji, dziś już oczywista władza rynków finansowych, ekspansja tzw. niezależnych agencji regulacyjnych – stworzyły nową rzeczywistość, nie tylko polityczną. Najbardziej przenikliwi obserwatorzy zaczęli mówić o rozbracie władzy i polityki oraz władzy i odpowiedzialności: w postsuwerennych państwach politycy w istocie niewiele mogą, ale wciąż obarczani są odpowiedzialnością za stan rzeczy w swoich krajach. Tymczasem odpowiedzialność aktorów o rosnących wpływach i władzy, ale pozostających w cieniu lub „nietransparentnie transparentnych” (jak znakomicie określił sposób działania Międzynarodowego Funduszu Walutowego James Rickards), stawała się coraz bardziej niejasna.

Faktem jest natomiast, że w tym systemie totalitaryzm stał się trudny do pomyslenia, a pozycja człowieka masowego



osłabła. Sprzyjały temu przemiany kulturowe: erozja – po części będąca wynikiem świadomej polityki – tradycyjnych wspólnot, rozwój instytucji publicznych, kult indywidualizmu, ekonomizacja życia. Co do tego ostatniego, warto zauważyć, że tak jak odsuwaniu od rządu dawnych arystokracji przez burżuazję towarzyszyła często oferta zamiany „władzy politycznej na ekonomiczną”, tak człowiek masowy został w pewnym sensie zneutralizowany zaproszeniem do orgii konsumpcji.

**W swoim płomiennym eseju Ortega opisał powstanie człowieka masowego, zrodzonego przez połączenie liberalnej demokracji, gwałtownego wzrostu dobrobytu i eksplozji demograficznej, dostrzegając w nim śmiertelnie groźnego dla europejskiej cywilizacji nowoczesnego barbarzyńcę**

A jednak „zadufany paniczyk” przetrwał. Na dwóch fundamentalnych poziomach, w tym jednym nowym. Po pierwsze, wspomniane zmiany instytucjonalne i kulturowe nie podważyły samej zasady go tworzącej: źle rozumianego demokratyzmu, zrównującego wszystko ze wszystkim, w tym mądrość z głupotą, moralność z niemoralnością, tym samym nieuchron-

nie promującego mierność, arogancję, kłamstwo, obniżanie standardów. Ten trend nie tylko nie zniknął – choć znalazł się w odwrocie w kluczowych obszarach polityki – ale poczynił znaczne postępy w wielu dziedzinach.

**Liberałowie się bronią**

Próbie syntezy tego zjawiska podjął m.in. Fareed Zakaria w niewydanej w Polsce książce „Przyszłość wolności” („The Future of Freedom”). To wprawdzie ostry akt oskarżenia demokracji z pozycji turboliberalnych, jednostronny i bardzo klasowy, zawiera jednak wiele dobrze udokumentowanych i głęboko prawdziwych wywodów. Na przykład, przekonująco pokazuje Zakaria, jak demokratyzacja elitarnych szkół w Ameryce doprowadziła do ich upadku. Podobnie, wprowadzona w imieniu patrzącego władzy na ręce ludu daleko posunięta transparentność legislacji okazała się służyć głównie niezdrowemu lobbingu, ułatwiając jego emisariuszom orientację w szczegółach i większy wpływ na prawo, podczas gdy zwykli ludzie nie mają czasu ani kompetencji, aby śledzić losy ustaw. Spektakularny jest też przykład modnej ostatnio demokracji bezpośredniej, która, zastosowana na szeroką skalę w Kalifornii, doprowadziła ten kwitnący wcześniej stan do radykalnego regresu we wszystkich kluczowych dziedzinach, łącznie z ustanowieniem półanarchicznego systemu politycznego, gdzie 85 proc. budżetu jest poza zasięgiem polityków, jednocześnie obarczanych oczywiście odpowiedzialnością za stan spraw publicznych. Ciekawy wykład zgubnych skutków demokratyzacji niepowołanych do niej dziedzin życia, tym razem z pozycji konserwatywnych, daje z kolei Ryszard Legutko w pracy „Triumf człowieka pospolitego”.

Warta odnotowania jest również synteza „Czas plemion” francuskiego socjologa Michela Maffesoliego. Opisał on ważne zjawisko: w reakcji na postępy liberalnego indywidualizmu i instytucjonalizmu nastąpiła samoczynna eksplozja nowego typu, neoplemiennej wspólnotowości. Prymitywnej, emocjonalnej i rozestetyzowanej, ale świetnie odnajdującej się w nowych technologiach, zwłaszcza smartfonach i mediach społecznościowych. W szerszym tekście na ten temat, do którego muszę tu odesłać, starałem się pokazać, że neotrybalizm ma również charakter pasożytniczy – zużywający to co wartościowe w zastanym łańdżu, nie dając nic w zamian – będąc swoistą reinkarnacją Ortegowskiego człowieka masowego („Od Polaków do neo-Polan?”).

„Zadufany paniczyk” znalazł też wpływowych sojuszników wśród elit. Tak należy rozumieć zawrotną swego czasu karierę postmodernizmu, negującego prawdę materialną i opiewającego swobodną „samorealizację” i ekspresję, niezależnie od ich społecznej przydatności i zgodności z faktami. W tym duchu działał też przecież najbardziej wpływowy (to może w tym przypadku zbyt skromne określenie, właściwiej byłoby chyba powiedzieć „hegemoniczny” czy „współrządzający Polską”) polski intelektualista lat 90. Adam Michnik, głosząc „równouprawienie prawdy i kłamstwa, cnoty i występku”.

Poziom drugi współczesnego, „zadufanego paniczykostwa” jest jeszcze bardziej niepokojący. Dotyczy bowiem liderów. W wydanej w 1995 r. książce „Bunt elit” amerykański myśliciel Christopher Lasch nakreślił porażający obraz swoistej zdrady przywódców. Rodząca się na całym Zachodzie od lat 60. nowa „arystokracja talentu” okazała się wielbić egoizm, agresję i chciwość, negować samą ideę wspólnoty,

a wraz z nią swój dług wobec przodków i zobowiązanie względem nienarodzonych. Powstała w wyniku najgłębszej fazy globalizacji w dziejach, jest merytokratyczna i kosmopolityczna: przekonana, że poradzi sobie świetnie w każdych warunkach, gardzi mniej zdolnymi, różnice kulturowe traktując jak ozdobniki, urozmaicające estetyczne doznania. Jako taka jest owa klasa protagonistką globalizacji, wielokulturowości i kosmopolityzmu, a przeciwniczką tradycyjnych wspólnot, w tym lokalnych i narodowych. Nie poczuwa się do żadnej misji względem ogółu, o dawnym etosie służby słabszym nie wspominając.

Trudno nie zauważyć, że oznacza to historyczny triumf „zadufanego paniczyka” w samym mózgu Zachodu – wśród jego elit. Oczywiście, wciąż na kamieniu rodzą się ludzie poczuwający się do odpowiedzialności i służby. Jednak dominująca reguła naszych czasów spycha ich z jednej strony na pozycje „frajerów”, z drugiej na pozycje podejrzanych – o zakłamaną przynależność do zdradzieckich elit.

### **Hiperdemokraci rządzą Polską**

Proces, który obserwujemy ostatnio na Zachodzie, jest natomiast, wracając do wątku głównego, hiperdemokratyczną reakcją na egoistyczne rządy turboliberalnych elit. Można ją nazywać „populizmem”, to jednak określenie zbyt ogólne: populizm zwraca się przeciwko różnym rodzajom elit, tu mamy bunt przeciwko konkretnemu ich typowi. Nie wyjaśnia to także całego szeregu konsekwencji związanych z Ortegowsko rozumianą masowością tej rewolty. Można ją też określać „lokalizmem” (w opozycji do „globalizmu”), jak proponuje Michał Kuź. To prawdziwe i ważne ujęcie. Jednak stosunek

do globalizacji bywał już osią podziału wiele razy w XIX i XX w., nie znosząc tradycyjnych podziałów politycznych, choć je modyfikując. Można sądzić, wbrew Kuziowi, że tym razem będzie podobnie. Co ważniejsze, pojęcie „lokalizmu” to stanowczo za mało, żeby wyjaśnić czy to politykę Trumpa, czy „nieoliberalną demokrację” Orbana, czy specyfikę rządów PiS-u. Będąc niewątpliwie na różne sposoby niechętnie globalizacji w obecnej postaci, przynoszą jednocześnie wiele innych treści, jak chęć zmiany ustroju, szczególnie rozumianej wymiany elit, osobliwą apodyktyczność, niekiedy pogardę dla instytucji jako takich. Wyjaśnia je – ramowo, bo oczywiście każdy przypadek jest inny – właśnie pojęcie „hiperdemokracji”, w opozycji do „turboliberalizmu”.

Jest to reakcja zasadna w tym sensie, że model turboliberalny na wiele sposobów poszedł za daleko, rodząc liczne patologie i rażące niesprawiedliwości, a będące jego apostołami elity zbuntowały się przeciwko swojemu przeznaczeniu, stając się wyobcowane, gnuśne, egoistyczne i chciwe. Zarówno postulaty zmian ustrojowych, modyfikacji reguł handlu i relacji międzynarodowych, jak i wymiany elit są więc zasadne. Problem w tym, że hiperdemokracja niesie ryzyko instytucjonalnej destrukcji zamiast reformy i likwidacji bezpieczników chroniących nas przed tyranią większości.

Przyjrzyjmy się temu zjawisku na przykładzie Polski.

Doszedłszy do władzy w 2015 r., Prawo i Sprawiedliwość zaczęło realizować politykę pod kluczowymi względami odwrotną do deklarowanej. Zamiast wzmocnienia państwa – jego osłabienie, poprzez m.in. pogłębiające resortowość: centralizację wokół dramatycznie słabego centrum rządu, likwidację Ministerstwa Skarbu

Państwa. Zamiast przejrzystego i merytorycznego doboru kadr – ostentacyjna obsada swoimi, często bez kompetencji. Zamiast reformy sądownictwa – podporządkowanie go władzy demokratycznej. Wszystko w aurze „instytucjonalnego nihilizmu”, jak to określił Andrzej Mikosz: sędziowie się z nami nie zgadzają – podporządkować, nie podoba nam się uchwała Sądu Najwyższego – zignorować, wyborcy są przeciwni przyjęciu jakichkolwiek uchodźców – złamać ustalenie międzynarodowe. I tak dalej, i tym podobne.

**„Zadufany paniczyk” znalazł też wpływowych sojuszników wśród elit. Tak należy rozumieć zawrotną swego czasu karierę postmodernizmu, negującego prawdę materialną i opiewającego swobodną „samorealizację” i ekspresję, niezależnie od ich społecznej przydatności i zgodności z faktami**

Wszystko pod hasłami „dobrej zmiany” w imieniu „zwykłych Polaków”, wykazujących daleko idącą, jeśli nie bezbrzeżną tolerancję dla uprawianej przez rząd instytucjonalnej destrukcji. Można oczywiście ubolewać nad hipokryzją i niewiarygodnością czołowych „obrońców demokracji”, nie zmienia to jednak faktu, że

rozchwianie systemu instytucjonalnego – wołającego o radykalne reformy, ale przecież nie o zniszczenie – jest ewidentne.

Czy jest to populizm? Niewątpliwie tak. Ale to określenie nie musi być ani obelgą, ani oznaczać psucia państwa. PiS stał się hiperdemokratyczny, otwarcie stawiając „wolę ludu” ponad prawem, racjonalnymi argumentami, zdrowym rozsądkiem. Oczywiście, realizuje przy tym własne, partykularne interesy, na przykład budując nową nomenklaturę (tak jakby ćwierćwiecze krytyki starej sprowadzało się do tego, że złem jest pasożytność na państwie przez rządzących, a nie ówczesną opozycję). Zastępy ludzi bez specjalnych zdolności ani zasług, którzy nagle zaczęli zarabiać kilkadziesiąt razy więcej np. w państwowych spółkach, dobrze wiedzą, że poza PiS-em raczej tych „sukcesów” nie powtórzą. Przełękają więc, w imię osobistych interesów, kolejne samozaprzeczenia, kolejne szkody dla dobra wspólnego. Gdy PiS straci władzę, będą już albo ludźmi zamożnymi, mogącymi żyć z renty od zgromadzonego kapitału, albo wrócą do roli poślednich klientów partii. Tak czy inaczej, powiększą sieć personalno-kapitałowych wpływów formacji, analogicznie jak wcześniej nomenklatura postkomunistyczna i ta wokół Platformy Obywatelskiej.

Że traci na tym interes publiczny, jest rzeczą oczywistą. A co mają z tego wyborcy PiS-u, choćby w kategoriach partykularnych interesów? Nic poza zbiorową psychoterapią, symbolicznym dowartościowaniem z powodu bycia w głównym nurcie, obserwacji cierpień turboliberalów. „Lud pije szampana ustami swoich przedstawicieli”, ale może przecież odczuwać satysfakcje innego typu. Łącznie z ułudą przyczyniania się do poprawy sytuacji kraju.

## Czekając na alternatywną elitę

Oczywiście, hiperdemokraci różnią się od siebie, nieraz radykalnie. Przykładowo, jest przepaść między budową nowego, pomimo wszystkich wad ewidentnie silniejszego państwa węgierskiego przez Orbana a destrukcyjnym instytucjonalnie pasożytnościami a'la PiS. Osobną historię pisze Trump, jeszcze inną Le Pen i tak dalej. Łączy ich jednak skłonność do „wylewania dziecka z kąpielą”: do destrukcji także tych elementów zastanego świata, które akurat należałoby zachować, choć niekoniecznie w tej samej postaci.

Sprawa jest, jak starałem się pokazać, znacznie poważniejsza niż jeden czy drugi szkodliwy rząd, kilka wykolejonych instytucji, parę straconych lat. Wybieramy dziś między opcjami naprawdę złymi: zbuntowanymi elitami a zbuntowanymi masami. Między turboliberalizmem a hiperdemokracją. Dobra przyszłość nie kryje się za rządami żadnej z nich. Katastrofa jest możliwa w każdym z przypadków, bo pieniędzy do przejedzenia jest coraz mniej, klimat dla idei wolności jest najgorszy od dawna, a sytuacja geopolityczna gęstnieje.

Co robić? Jeśli ma być istotnie lepiej, musi powstać alternatywna elita, złożona z ludzi poczuwających się do odpowiedzialności, służby i solidarności. Ona istnieje, ale jest rozproszona, często uspijona lub rozpuszczona w swoich, egoistycznych środowiskach. Tym samym nie działa jako istotny aktor publiczny. Jej integracja i konsolidacja jest warunkiem wstępnym może największego wyzwania naszych czasów.

Jest ona konieczna, jeśli ma być w ogóle możliwy wyczekiwany już przez Ortegę, frontalny szturm na pozycje „zadufanego paniczyka”. Jak pisał hiszpański filozof: „generalny atak musi przybrać

taką postać, by człowiek masowy nie zdążył przygotować obrony, by obserwując nadchodzące zdarzenia, nie miał nawet pojęcia, że to właśnie jest szturm generalny”.

Nieźmiennie uważam, że najlepszą intelektualno-polityczną ramą dla tego przedsięwzięcia jest odpowiednio zaktualizowany republikanizm. Nie w rozumieniu co niektórych obecnych w polskiej debacie grup ludzi, używających tego szlachetnego pojęcia do opakowywania swoich drob-

nych ambicji i zdezelowanych postulatów. Mowa o republikanizmie jako szkole myślenia i działania, łączącej, tak jak w przeszłości, najlepsze cechy liberalizmu i demokracji, a zarazem unikającego typowych dla nich pułapek. Formule na tyle pojemnej, aby móc zmieścić w sobie racjonalną prawicę i lewicę, ale na tyle konkretnej, by nie poprzestawać na rytualnych odwołaniach do dobra wspólnego. To już jednak osobna historia.

## Demokracja i liberalizm: związek nieoczywisty



**DAMIAN MAZIARZ**

Doktorant Katedry Etyki Szczegółowej na Wydziale Filozofii KUL

**Już u swych źródeł demokracja i liberalizm były wobec siebie antagonyzmiczne. Rousseau z Constantem bruderszafta by nie tyknął**

Ich losy splotły się w na poły romantycznym uniesieniu, gdy trzy wieki temu utworzyli niesakramentalny związek partnerski. Gdzieniegdzie tylko tę idylliczną wizję przerywał szmer powątpiewania. Po trzydziestu latach do opinii publicznej zaczęły przedostawać się głosy o rozstaniu. Ona bowiem ostatnimi czasy regularnie daje do zrozumienia, że nosi się z zamiarem wzięcia rozłąki, ponieważ on ignoruje jej decyzje. Swą nieoczekiwaną postawą wywołała niedowierzenie entuzjastów tego związku. Z kolei ci, którzy od lat powtarzali, że niekoniecznie do siebie pasują, wierzą, iż nie zabraknie jej determinacji, by od niego odejść. On jeszcze liczy, że zdoła ją przy sobie utrzymać. Ona coraz śmielej natomiast przebąkuje, że zamierza pójść własną drogą.

Jego imię – liberalizm, jej – demokracja.

### Jedyny możliwy paradygmat?

Demokracja często uznawana jest za pannę niekoniecznie ciekawego autoramentu, niestroniącą od kapryśności. In-

czej niż liberalizm – postrzegany jako dystyngowany jegomość, odznaczający się stałością i powściągliwością, nieskory do afektów. Zawsze w gotowości, by przybyć z odsieczą demokracji, gdy ta błądzi po manowcach. Bez liberalizmu – można odnieść wrażenie – demokracja gotowa będzie jeszcze związać się z jakimś absolutnie nieodpowiedzialnym partnerem albo, co gorsza, w rezultacie swych nieroztropnych wyborów dokonać żywota, zakładając sobie pętlę na szyję. Spójrzmy jednak na demokrację jako niewiastę przygotowaną do emancypacji – władną zarazem wieść niekoniecznie monogamiczną i patriarchalną egzystencję. Inaczej niż Richard Rorty et consortes, którzy z dezynwolturą głoszą wszem i wobec, że demokracja liberalna a priori domaga się uznania i nie ma co bając, że jakiegokolwiek inne związki mają rację bytu. Stańmy tym samym z otwartą przyłbicą i dokonajmy próby obalenia twierdzenia o nierozłączności demokracji i liberalizmu.

Określenie „demokracja liberalna” nie jest już dawno kategorią opisową, lecz – przepojoną nad wyraz dużym ła-

dunkiem emocjonalnym – wartościującą (analogicznie ma się rzecz z innymi terminami z zakresu politologii tudzież filozofii polityki, m.in. „dyktatura”, „autorytaryzm”, etc.). Na płaszczyźnie semantycznej służy do dyskredytowania interlokutorów i oponentów skłaniających się do hołubienia innych idei i form organizacji życia społeczno-politycznego. Zwrot „demokracja liberalna” opanował sferę semantyczną, stając się jednym z arsenałów w repertuarze „władzy dyskursywnej” (czyj język, tego władza). obrońcy demokracji liberalnej sytuują ją jako paradygmat, w obrębie którego można kruszyć kopie o kształt poszczególnych wycinków rzeczywistości. Alternatywne paradygmaty są ujmowane jako niedopuszczalne.

### **Rousseau z Constantem bruderszafta by nie łyknął**

Tymczasem oba nurty – demokratyzm i liberalizm – już u swych źródeł były wobec siebie antagonistyczne. Protoplasta „nowoczesnego” demokratyzmu (pojętego jako powszechna emanacja woli ludu), Jean-Jacques Rousseau, nie stronił od wymierzania ostrza krytyki w liberalny parlamentaryzm, oznajmiając, że nie sposób rozprawiać o demokracji, gdy ceduje się władzę na kilkudziesięciu osobników zasiadających w parlamencie. Prekursorzy liberalizmu (m.in. Thomas Hobbes, John Locke, Benjamin Constant) nie pozostawali dłużni, żywiąc szereg obiekcji względem demokracji: uwypuklali między innymi, iż działania obywateli na płaszczyźnie politycznej mogą być motywowane niskimi, zakorzenionymi w resentymencie pobudkami i dodając, że „warstwy nieoświecone” nie są władne należycie pokierować kwestiami polityczno-społecznymi (rozziew między pierwotnie libe-

ralnym elitaryzmem a demokratycznym egalitaryzmem); nadto zaś wątpliwości nastroczała im perspektywa, czy można pogodzić maksymalizację wolności (niektórzy z liberałów byli wszak utylitarystami) indywidualnej i zbiorowej z demokracją? Liberałowie przyznawali prymat uprawnieniom zabezpieczającym prywatną sferę jednostki, demokracji zaś – możliwość wpływania na formę politycznej wspólnoty (element „negatywny” – liberalizm, element „pozytywny” – demokracja).

### **Myślenie demokratów i liberałów w sprawie partycypacji obywateli w kwestiach państwowych było całkowicie odmienne**

Myślenie demokratów i liberałów w sprawie partycypacji obywateli w kwestiach państwowych było całkowicie odmienne. Liberałowie postrzegali parlamentaryzm nie jako organizm polityczny, a bardziej jako miejsce, gdzie dokonuje się rozporządzenie wspólnym (podatki) majątkiem obywateli. Wiodło to liberałów do przekonania, że absolutnie nie każdemu przysługuje (w ogóle i równe) prawo do biernego i czynnego uczestnictwa w wyborach. Sytuowało to liberałów na antypodach myślenia demokratycznego. Nie było więc mowy o tym, by wybory stały się manifestacją roussofskiej „woli powszechnej”, lecz – jak rozprawiał John Stuart Mill – miały stanowić wyraz „realnego interesu społecznego”. Dlatego też – perorował Mill – głosować mogli tylko mężczyźni, nie zaś kobiety, albowiem in-

teres kobiet zawierał się w interesie ich mężów, następowałyby więc swoista multiplikacja interesów. Z tym że i nie każdy mężczyzna w oczach liberałów predysponowany był ku temu, by udźwignąć brzemień odpowiedzialności wyborczej, stąd też orędownali oni za tym, by obdzielić tą łaskawością tylko ludzi posiadających odpowiednio grubą sakiewkę. Państwo zyskuje w tej perspektywie bardziej kształt spółki akcyjnej, w której ten, kto nabył odpowiednio dużo „udziałów”, ma większe uprawnienia, by decydować o tym, w jakim kierunku „firma” ma się rozwijać. U źródeł liberalnego myślenia tkwił również pierwiastek oligarchiczny, zgoła obcy postawie demokratycznej.

Zadumali się więc liberałowie: cóż począć, skoro widzimy, że demokracja nie jest w pełni zharmonizowana liberalizmem? Demokraci spoglądają na nas spođe łba, a trzeba przecież jakoś okiełznać ten pęd ludu do samostanowienia. Jeśli pozwolimy na demokrację par excellence, lud może odesłać nasz liberalizm na śmietnik historii. I tak oto w XIX i XX wieku w sukurs przyszła im koncepcja pozytywizmu prawniczego, mająca korygować „ekscesy” demokracji, kiedy wybory powszechne sprawiają, że laur zwycięstwa przypada w udziale ugrupowaniu kontestującemu liberalne uniwersum. Pamiętać bowiem należy o ważnej dystynkcji – wygrana wyborcza nie jest tożsama z przejęciem władzy. Triumf przy urnie wyborczej może dać dopiero sposobność do zdobycia władzy rozproszonej w wielu obszarach państwowego organizmu. W demokracji liberalnej na siłę kwestionującej liberalne status quo czekają więzadła formalno-prawne, będące pokłosiem pozytywizmu prawniczego (tego rodzaju idea przyświecała m.in. Hansowi Kelsenowi przy rozważaniach o Trybunale Konstytu-

tucyjnym jako instancji władnej neutralizować działania żywiołów niepożądanych, czyli „nieoliberalnych”). Pozytywizm prawniczy, zakorzeniony w demokracji liberalnej, pragnie pozycjonować się jako perspektywa bezalternatywna, deprecjonując pozostałe ujęcia prawne (jusnaturalizm). Gdy w łonie demokracji liberalnej dochodzi do sporu pomiędzy egzekutywą i/lub legislatywą a judykatywą, niekiedy (podkreślam – niekiedy – innym razem idzie zwyczajnie o poszerzenie zakresu władztwa) rzecz nie rozbija się o to, czy honorowany jest ten czy inny zapis konstytucji, ale o to, czym konstytucja jest, czyli o to, którą filozofię prawa się aprobuje. Każdy, kto bierze udział w tej debacie prawnej, opowiada się za konkretną filozofią prawa, nawet jeśli czyni to w sposób nieuświadomiony. Proces ten, określany mianem jurydyzacji polityki, pozwala częstokroć pacyfikować demokratyczne żywioły przez liberalne imaginarium.

### **Pierwsi pośród równych, ostatni pośród równych**

*Crema de la crema* demokracji liberalnej – zarazem jej domniemana wyższość względem innych konfiguracji demokracji tudzież pozostałych prądów ideowych w ogóle – manifestować ma się w tym, że w łonie demokracji liberalnej dokonuje się afirmacja pluralizmu i równowartości opinii. Empiria jednak dowodzi, iż owa afirmacja nierzadko nie wychodzi poza deklaratywność. Demokracja liberalna (a zatem dookreślona) zawiera w sobie wyraźny komponent aksjologiczny, czego naturalną konsekwencją pozostaje fakt, że w ramach owego systemu uznanie dostąpić nie mogą przekonania o konotacjach innych niż liberalne. Delimitacja poglądów „uprawnionych” odbywa się wokół liberalnego



spektrum. Jeśli przyjąć za naturalne, że w obrębie demokracji liberalnej funkcjonują jednostki i grupy, których zapatrywania nie pozostają kompatybilne z liberalną optyką, to wiedzie do konkluzji, iż ich przekonania nie są *de facto* równoprawne z poglądami osób o liberalnych poglądach. Przeświadczenie o możliwości równowartości opinii w przypadku, kiedy już w nazwie systemu (demokracja liberalna) gloryfikuje się: a) demokrację, b) liberalizm, czyli *ex cathedra* obwieszcza się, jakie komponenty funkcjonują w sposób nieomal aksjomatyczny, jawi się jako fantazmat. Pole równoprawności opinii nie obejmuje przekonań niedemokratycznych i nieliberalnych. Demokracja liberalna *explicite* zakłada, że pierwiastki wobec niej antonimiczne (nie-demokracja i nie-liberalizm) w jej obrębie zostaną poddane procesowi marginalizacji. Pluralizm i równowartość opinii dokonać się może zatem wyłącznie w mozaice poglądów demokratycznych i liberalnych – i tych, rzecz jasna, jest wiele, lecz przez wzgląd na to, że odrzuca się (jeszcze większą) liczbę zapatrywań nieliberalnych, ów akcentowany przez liberalnych demokratów pluralizm zostaje silnie zredukowany.

Liberalizm przejawia silne tendencje dominacyjne, określając się nie jako jedna z wielu godnych aprobaty doktryn, lecz jako ta, która sytuuje się ponad resztą. Wielość w demoliberalizmie jest iluzoryczna, kreuje on bowiem dychotomię: liberalne (godne uznania) – nieliberalne (godne napiętnowania). Nie on ma się przegłądać w innych doktrynach, lecz inne doktryny w nim. Słynna maksyma: „Nie zgadzam się z tobą, ale będę czynił wszystko, byś mógł głosić swoje przekonania”, która jakoby leży u podstaw demokracji liberalnej, nie zazębia się z praktyką. Powinna ona na kanwie demokracji

liberalnej doczekać się nowego wcielenia, mianowicie: „Będę czynił wszystko, byś mógł swobodnie głosić swoje przekonania, o ile sytuują się one w liberalnym uniwersum”.

**Liberalizm przejawia silne tendencje dominacyjne, określając się nie jako jedna z wielu godnych aprobaty doktryn, lecz jako ta, która sytuuje się ponad resztą**

Liberalizm nierzadko posługuje się jedynie demokratycznym sztafażem, przyznając słusność tylko tym werdyktom ludu, które nie wypowiedają posłuszeństwa liberalizmowi. Ten problem próbował np. rozwiązać John Rawls, propagując ideę „rozumnego pluralizmu”. Jednak Rawls posługuje się kategorią „rozumnych doktryn rozległych”, lecz nie dość, że owe „doktryny rozumne” definiowane są z pozycji liberalnych, przechodzą przez liberalne kryteria doboru, to jeszcze samo sformułowanie jawi się jako wielce mgliste i pretensjonalne, oznacza bowiem, że liberalizm uzurpuje sobie prawo do kwalifikowania „rozumności”. Liberalizm wygodnie rozsiadł się na tronie ideowego hegemonia i z pozycji oświeconego władcy absolutnego łaskawie wyrokuje, komu przyzna imprimatur. A o tym, że kategoria rozumności w liberalnej perspektywie szafuje się dość swobodnie, niechaj zaświadczy fakt, iż zaszczytu znalezienia się w poczcie „rozumnych doktryn rozległych” nie znalazły choćby koncepcje zanurzone w prawie naturalnym i stroniące od po-

zytywizmu prawniczego. Ot, i niemały dorobek intelektualny (choćby neotomizm czy decyzyzizm), trafi na półeczkę z sygnaturą: „nierozumne doktryny rozległe”.

### **Prawda? Nie wiem, nie znam się**

Pozwólmy sobie wbrew śmiałym deklaracjom, że „demokracja (liberalna) jest przed filozofią” (Rorty ponownie się kłania), uznać, że filozofia, ta onegdaj dumna i niezłomna panna, nie ugnie karku przed dyktatem liberalizmu. Gdzie więc – mimo protokołu rozbieżności – spotykają się drogi demokracji i liberalizmu? Gdzie mogą sobie śmiało podać ręce? Łączy ich niechęć do prawdy.

U podstaw demokratyczno-liberalnej tezy o równoprawności opinii i pluralizmie zawartych w liberalnej demokracji leży przekonanie o epistemologicznym i moralnym relatywizmie (jeden z orędowników zespolenia demokracji z liberalizmem Hans Kelsen – autodemaskacyjnie poniekąd – oznajmił przecież *expressis verbis*, że relatywizm jest nieodzowną częścią demokracji liberalnej). Odkąd nowożytna filozofia proklamowała schizmę bytu (oddzieliwszy poznanie od bytu), uprawomocniła tym samym perspektywę relatywistyczną. Jeśli do prawdy nie można dojść – lub też jej nie ma – każdy sąd o każdej rzeczy winien być traktowany jako dopuszczalny. Mniemanie straciło z piedestału prawdę. W demokracji nie idzie o prawdę – wyżej usytuowana pozostaje wola, preferencje, interesy, mniemanie. Liberalizm charakteryzuje zaś absolutny immanentyzm (samowystarczalność jednostki w wymiarze doczesnym) – na tej płaszczyźnie świetnie więc ze sobą współgrają (gwoździ ścisłości zaznaczymy, że błędne jest przeświadczenie, iż różnorodność mniemań jest dowodem

na to, że istnieje wiele prawd, ponieważ dowodzi to jedynie tego, że występuje wielość światopoglądów, nie zaś prawd).

Argumentacja na rzecz demokracji liberalnej na gruncie relatywizmu powoduje kolejną trudność. Aprobując bowiem konkluzję o relatywizmie epistemologicznym i moralnym, a jednocześnie zaś sytuując jako „absolut” demokrację liberalną, demokratyczni liberałowie popadają w sprzeczność. Skoro wszystko jest relatywne, za takowe należy uznać również i wartości, które w obrębie demokracji liberalnej podnoszone są do rangi pierwszej zasady, czyli demokrację i liberalizm (jako aksjologię). W myśl relatywistycznej optyki nie powinno się ich absolutyzować i oczekiwać – często zaś wręcz narzucać (instytucjonalnie i prawnie) – że winny one zostać powszechnie zaaprobowane. Relatywizm poznawczy, którego nieodłącznym elementem pozostaje teza o względności wartościowania, napotyka na zarzut, że i przekonanie o prymacie liberalnej demokracji – ufundowane wszak na względnym, nieprowadzącym do wiążących konkluzji aparacie poznawczym – skażone jest błędem. Relatywizm poznawczy daje asumpt, by – z pozycji relatywistycznych właśnie – demokrację liberalną kontestować. Każdy wyartykułowany sąd *ex definitione* jest względny, wobec tego oznacza to, że również pozytywnie wartościujące sądy o demokracji mierzyć się mogą z relatywistyczną negacją.

Dzisiejsza myśl filozoficzna, tak bliska liberalizmowi, koncentruje się na podmiocie, jaźni i treściach świadomości. Filozofia porzuciła ambicje całościowego i mądrościowego rozpoznania rzeczywistości, podkreślając nade wszystko wymiar epistemologiczny (nasycony dziś również pierwiastkami psychologicznymi, socio-

logicznymi i kulturowymi). W filozofii obecnie dominuje przeświadczenie, że: a) rzeczywistość realnie istniejąca jest niepoznawalna (idealizm epistemologiczny) lub b) nie sposób mówić w ogóle o rzeczywistości istniejącej niezależnie od podmiotu (idealizm metafizyczny/ontologiczny). Liberalizm ochoczo na takie perspektywy przystaje.

**Filozofia porzuciła ambicje  
całościowego  
i mądrościowego  
rozpoznania rzeczywistości,  
podkreślając nade wszystko  
wymiar epistemologiczny**

Spójrzmy jednakże, jakie implikacje na płaszczyźnie politycznej niesie zaaprobowanie tezy idealizmu epistemologicznego, leżącego u filozoficznych podstaw demokratycznego liberalizmu, którego reprezentanci przyznają naczelną rolę kategorii „idei” (nie zaś obiektywnie i pozapodmiotowo istniejącej rzeczywistości) jako władnej ogniskować ludzkie myślenie o tym, iż rzeczywistość jawi się jako struktura niepoznawalna. Na kanwie idealizmu epistemologicznego powinnością myśli ludzkiej – w tym filozoficznej i politycznej – nie jest komplementarność z rzeczywistością. Rzeczywistość bowiem albo pozostaje nieuchwytna, wszelkie więc próby uzyskania kompatybilności myśli z rzeczywistością skazane są na obrócenie w niwecz, albo też rzeczywistość pozapodmiotowa w ogóle nie istnieje, zatem zanika nawet nie tyle konieczność, co możliwość odnoszenia się doń. Stanowi to

doskonałą sposobność ku temu, by czynić z obywateli jednostki znacznie bardziej podatne na aplikowane im przez rządzących paradygmaty i konstrukty polityczno–społeczne. Jeśli bowiem rzeczywistości nie sposób odczytać, daje to możliwość po temu, by w jej miejsce wdrażać dowolnie wykoncypowane modele. Filozofia współczesna przybiera ambiwalentny charakter: z jednej strony, negując radykalnie perspektywę poznania rzeczywistości, wielce krytycznie spogląda na możliwości człowieka; z drugiej natomiast czyni z podmiotu demiurga, konstatuując, iż to ludzki umysł władny jest modyfikować realia podług własnych mniemań i – w ślad za Protagorasem – na powrót czynić z siebie miarę wszechrzeczy. Klasyczna teoria prawdy – jako zgodności rzeczywistości z myślą – odesłana została do lamusa. Przedmiotem poznania człowiek demokratyczno-liberalny czyni nie rzeczywistość (pozapodmiotową), lecz swoje o niej wyobrażenie. Operacje na ideach wyparły poznanie.

### **Czas decyzyzjonizmu**

W związku demokracji z liberalizmem ten drugi osiągnął pozycję znacznie bardziej uprzywilejowaną. Liberalizm i demokracja nie lgnęły samoistnie ku sobie, lecz ich związek został – można rzec – zainscenizowany. Widać to, gdy co jakiś czas – regularnie – ta unia trzeszczy w posadach. Komunia ta jednak z pewnością nie jest nieuchronnością, demokracja z powodzeniem może wchodzić w alianse z innymi prądami intelektualnymi. Choć może się wydawać, że to pierwiastek demokratyczny zatryumfował, bo nie mamy dziś do czynienia w ramach demoliberalizmu z cenzurami majątkowymi i kreowaniem kryteriów (poza wiekiem) uczest-

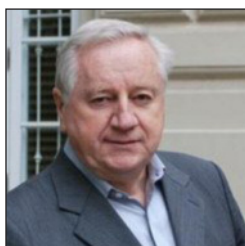
nictwa w wyborach, to jest to pyrrusowe zwycięstwo. Reguły gry wyznacza bowiem liberalizm. I tym oto sposobem pozwala się ludowi na demokratyczną szarżę, pod tym wszakże warunkiem że wybór dokonuje się w ramach liberalnego paradygmatu.

Dzisiejsze posunięcia na politycznej szachownicy wskazują, że gdzieś wyłania się następująca sceneria: demokracja, która idzie pod rękę z konserwatywnym decyzyzmem. Jest to kształtująca się synteza nieliberalnej, zanurzonej w roussovskim modelu, demokracji okraszona elementem schmittańskiego decyzy-

zyzmu. Demokracja zmienia więc partnera – pakuje manatki Hansa Kelsena (personifikującego pozytywizm prawniczy) i wyrzuca go za próg, zapraszając do swego domostwa innego absztyfikanta – Carla Schmitta (uosabiającego decyzyzizm). Państwo w tym wymiarze przestanie być prawno-administracyjną maszyną, gdzie wyłaniani w demokratycznych wyborach politycy stają się pacynkami bezoosobowego prawa (dekretującego liberalne pryncypia), lecz to im przypadnie w udziale modelowanie politycznego porządku poprzez czerpanie z demokratycznego mandatu.

# Interesy europejskie istnieją

Z prof. Bogdanem Góralczykiem  
rozmawia Anna Kiljan



**BOGDAN GÓRALCZYK**

Polski politolog, sinolog, dyplomata, publicysta

**Musimy się głęboko zastanowić, czy forsowanie Europy Ojczyzn jest właściwym rozwiązaniem z punktu widzenia polskiej racji stanu**

## ***Czy kryzys Unii Europejskiej może być rozważany z punktu widzenia kryzysu demokracji liberalnej?***

Po pierwsze, to nie jest jeden kryzys Unii Europejskiej, ale wiele kryzysów na terenie Unii Europejskiej. Jednym z nich jest przesilenie w ramach nurtu liberalnego, ale ja widzę to nieco inaczej. Cały proces rozpoczął się już w 2005 r., kiedy to Francuzi i Holendrzy odrzucili projekt wypracowanej już i gotowej unijnej konstytucji. Wtedy załamała się neofunkcjonalistyczna wizja integracji europejskiej, która zakładała, że zwieńczeniem procesu będzie jakaś nowa, ponadnarodowa formuła federacji. To załamanie sprawiło, że elity europejskie popadły w konfuzję, straciły azymut i zaczęły się coraz bardziej dzielić oraz spierać o wizję przyszłości. Trzy lata później, w 2008 r. Unia Europejska musiała się zmierzyć z kolejnym kryzysem, tym razem przybyłym z zewnątrz – światowym kryzysem finansowym. Wtedy po-

jawił się na horyzoncie pierwszy -exit, a mianowicie Grexit. Wyłoniło się niebezpieczeństwo, że jedno z państw może opuścić strefę euro, a może nawet UE. Jednocześnie kilka państw regionu Morza Śródziemnego zaczęło mieć duże problemy gospodarcze. To były dwa pierwsze, jak je nazywam, impulsy nacjonalistyczne w Unii. I wreszcie w 2014 i 2015 r. wybuchły kolejne kryzysy, dając kolejny silny impuls siłom narodowym. Chodzi o Majdan, Krym i Donbas, a później powstanie i działalność ISIS i tak gorący dzisiaj kryzys migracyjny. Wokół Unii Europejskiej zapłonęły granice, na co absolutnie nie była gotowa.

Te wszystkie wydarzenia i procesy sprawiły, że wewnątrz społeczeństw europejskich zerwano z jedną z podstawowych dla integracji zasad, tj. z solidarnością. Teraz praktycznie we wszystkich krajach wspólnoty mamy do czynienia ze społeczeństwami podzielonymi.

Wracając do pani pytania, niewątpliwie Unia Europejska powstała w czasie największego tryumfu Zachodu i liberalnej demokracji, podczas gdy dziś świat jest już zupełnie inny. Centrum świata nie znajduje się w Europie, ani nawet na Atlantyku. Mamy do czynienia z wyraźnym zakrętem świata zachodniego oraz zamętem w ramach dominującej dotychczas liberalnej demokracji.

**Unia Europejska nie jest tylko mechanizmem gospodarczym czy handlowym, ale jest normatywnym supermocarstwem w skali globalnej, również w zakresie soft power**

***Zakładając, że tendencje antyliberalne się utrzymają i Europę zdominuje demokracja nieliberalna, to jak miałyby wyglądać Unia Europejska w takich warunkach?***

Ja to widzę trochę inaczej. Jestem przekonany, że po wyborach w Niemczech, które z dużym prawdopodobieństwem wygra Angela Merkel, dojdzie do odbudowy osi Paryż-Berlin, co z resztą Emmanuel Macron w swoich wypowiedziach potwierdza. Wobec tego pojawi się twardy rdzeń, który będzie nadal szedł w kierunku liberalnym. Władze w Warszawie i Budapeszcie będą musiały się zastanowić, czy stanowią prawdziwą przeciwwagę dla takiego sojuszu. Trzeba opierać się na

faktach: ponad 30 proc. obrotów handlowych Polski jest z samymi Niemcami, a około 80 proc. z Unią Europejską. Francja i Niemcy stanowią razem około 6 proc. światowego PKB, a Polska i Węgry razem nie dają nawet 1 proc. Dlatego my musimy się teraz głęboko zastanowić, czy forsowanie Europy Ojczyzn jest właściwym rozwiązaniem z punktu widzenia polskiej racji stanu.

***To znaczy, że tendencje antyliberalne są zbyt słabe?***

Nie można powiedzieć, że są zbyt słabe, bo zagnieździły się przecież w kolebce liberalizmu, czyli w Stanach Zjednoczonych, gdzie ich uosobieniem jest Donald Trump. Tyle że dotychczasowe doświadczenia pokazują, że nowy Prezydent USA ma istotne problemy z przeforsowywaniem swoich pomysłów.

***Czyli to, co robi Orban, nie ma szans zdarzyć się w innych krajach wspólnoty?***

Zdarzyć się może i zdarzyło się w Warszawie. Niestety na Węgrzech nie idzie to w dobrym kierunku, Orban dokonuje de facto oligarchizacji i uwłaszczenia nomenklatury na wzór Rosji putinowskiej. W Polsce to przebiega nieco inaczej, ale za to silniejsze są tendencje narodowe.

***Czy mogę podsumować w takim razie pana diagnozę jako stwierdzenie, że w Unii Europejskiej zwycięży liberalizm? I czy powinniśmy się z tego cieszyć?***

To uproszenie. Unia Europejska w stanie, w jakim jest obecnie, nie może po prostu przetrwać. Władze instytucji unijnych nie

mogą dalej na ślepo dryfować. Spodziewam się jednak mocnego impulsu ze strony dwóch najsilniejszych stolic na kontynencie. Pytanie, czy zwycięży stara francuska teoria koncentrycznych kręgów i twardego jądra i czy tym twardym jądrem będzie strefa euro, pierwotna „6” państw wspólnoty, czy „4”: Niemcy, Francja, Włochy i Hiszpania. Inny scenariusz, dla nas lepszy, bo bardziej "inkluzywny", to Europa różnych prędkości, którą popiera kanclerz Angela Merkel.

**Kiedy elity w 2005 r. zgłosiły się w końcu do własnych społeczeństw, by przegłosowały ich projekt, to okazało się, że społeczeństwa go nie chcą i nie popierają**

**A najbardziej pożądany scenariusz dla Polski to...**

W naszym nadrzędnym interesie jest utrzymanie trwałego dialogu z Niemcami i Francją. Polityka antyniemiecka w trakcie prowadzonej werbalnej wojny i stałych napięć z Rosją nie jest najrozsądniejszym rozwiązaniem. Drugim argumentem są wspomniane przeze mnie wcześniej kwestie ekonomiczne: bez Zachodniej Europy nie podtrzymamy rozwoju. Poza tym czy współpraca w ramach V4 czy koncepcja Międzymorza to realne alternatywy? Przecież nawet premier Orban także doskonale wie, że gospodarka Węgier bez umieszczonych tam niemieckich firm samocho-

dowych po prostu upadnie i jestem głęboko przekonany, że Orban żadną kartą antyniemiecką nie zagra.

**Powinniśmy więc wskoczyć na główkę w liberalną Europę z absolutną władzą rynku i zapomnieć o dążeniach państwowych i interwencjonistycznych?**

Tzw. niewidzialna ręka rynku została skompromitowana już w 2008 r. i od tamtej pory mamy coraz więcej czynników wskazujących na konieczność wzmocnienia roli państwa i interwencjonizmu państwowego. Ten nurt nasila się coraz bardziej. Wydaje się, że czas całkowitego panowania rynków został już poprzez Brexit i Trumpa pożegnany. Państwa wracają do gry. Przykładem jest chociażby to, że mówiąc o tym, co się dzieje wewnątrz wspólnoty, na pierwszym miejscu nie wymieniamy nazw instytucji unijnych, ale posługujemy się nazwami stolic.

**Ale jak miałyby wyglądać taka Unia Europejska, w której wszystkie państwa rozumieją już, że absolutna władza rynku to przeszłość? Przecież UE to był bądź co bądź projekt gospodarczy.**

Rzeczywiście wychodziła ze strefy wolnego handlu, ale z czasem przemodelowała się i doszła do unii monetarnej, wyłoniła się unia bankowa. W ślad za tym Unia Europejska nie jest tylko mechanizmem gospodarczym czy handlowym, ale jest normatywnym supermocarstwem w skali globalnej, również w zakresie soft power. Mamy też wspólnotę wartości i to o nie powinniśmy teraz dbać, bo zostały mocno nadwyrężone.

**Nadwyrężone? A nie jest po prostu tak, że nie ma czegoś takiego, jak**

***wspólne europejskie wartości i nie da się już ich zbudować?***

Jesteśmy pęknięci wewnątrznie. Europa ma de facto dwa kodeksy wartości, które do siebie nie przystają. Pierwszy to tzw. kryteria kopenhaskie: demokracja liberalna, gospodarka rynkowa, państwo prawa, silne społeczeństwo obywatelskie i nienaruszalny podział władzy zwany checks and balances. Drugi to powrót do idei silnych państw narodowych – Europy Ojczyzn w formie konfederacji, co do trwałości której ja osobiście mam poważne wątpliwości. Do tego pęknięcia dochodzi grzech pierworodny wspólnoty: Unia Europejska to projekt elit. A kiedy elity w 2005 r. zgłosiły się w końcu do własnych społeczeństw, by przegłosowały ich projekt, to okazało się, że go nie chcą i nie popierają.

**ANNA KILJAN**

Redaktor „Nowej Konfederacji”

***To jak zapobiec rozpadowi Unii?***

Po pierwsze rozmawiać. Po drugie przestać skakać sobie do oczu. Po trzecie zrozumieć, że są interesy nadrzędne, ważniejsze niż interesy partyjne, lokalne i narodowe egoizmy. Po czwarte zrozumieć, że są też interesy europejskie, ważniejsze od partykularnych. Jak na przykład to, żeby nie dać się rozgrywać wielkim graczom globalnym – Moskwie, Pekinowi, Waszyngtonowi czy nawet Ankarze.

***A Angela Merkel i Emmanuel Macron są w stanie wznieść się ponad swoje partykularne interesy?***

Jeśli nie są, to ten projekt się nie uda.



## Przestać być masą



**STEFAN SĘKOWSKI**

Zastępca redaktora naczelnego „Nowej Konfederacji”

**Antydemokratyczne elity uważające, że trzeba „wziąć za mordę”, by zrealizować coś dobrego, idą na skróty. Brakuje im pokory i słuchu społecznego**

Jest nurt liberalizmu, który nigdy nie kłaniał się demokracji. Wielu polskich konserwatywnych liberałów od czasów sławetnego hasła przypisywanego Stefanowi Kisielewskiemu, że należy „wziąć za mordę i wprowadzić liberalizm”, marzyło często o tym, by po latach PRL-u pojawił się jakiś oświecony król, a przynajmniej dyktator, który zlikwiduje socjalizm i zaprowadzi system zgodny z prawem naturalnym. Inni, wskazując na to, że demokracja to ustrój, w którym dwa wilki i jedna owca decydują o tym, co będzie na obiad, a ponadto nie chcąc służyć nikomu, szli w swoich rozważaniach w stronę likwidacji władzy politycznej jako takiej. Co rusz pojawiają się na polskim rynku książki o takich tytułach, jak „Demokracja – bóg, który zawiódł”, „Demokracja – opium dla ludu” czy inne wariacje wokół totalitaryzmu czy fałszu demokracji. Często zresztą słusznie wskazują wewnętrzne sprzeczności i wady ludowładztwa. Monarchizm, tak ten lat 90. XX wieku, jak i obecny (wyznawany głównie przez konserwatystów, choć i część konserwatywnych liberałów), ma liczne odcienie; jedne posiadają

solidny fundament intelektualny (jak choćby u Jacka Bartyzela), inne przybierają formę zwulgaryzowaną (jak u Janusza Korwin-Mikkego). Co bardziej realistycznie patrzący na rzeczywistość monarchiści – tacy, jak Adam Wielomski – nie widzą możliwości przywrócenia w Polsce monarchii, wiążą swoje nadzieje z zaistnieniem co najwyżej jego protezy, możliwej do wyobrażenia w XXI w., czyli dyktatury. Nurt ten jest obecnie zdecydowanie słabiej reprezentowany na szeroko rozumianej prawicy – niż np. obywatelsko-demokratyczny romantyzm reprezentowany przez Pawła Kukiza – jednak zawsze trend ten może się odwrócić. Tym bardziej, że wiązanie pewnych nadziei z rządami autorytarnymi to szersze zjawisko.

### **Gdybym był królem**

Monarchizm nie musi być absolutystyczny – klasycznie rozumiana republika będąca ustrojem mieszanym także przecież była monarchią. Chodzi tu o te rodzaje, które stawiają przede wszystkim na jednowładztwo. W nich często monarchia

nie jest jednak celem samym w sobie; nie chodzi o to, by w ramach obecnego porządku istniała osoba pełniąca funkcję de facto dekoracyjną, jak w Norwegii czy Wielkiej Brytanii, takie państwa, będące formalnie monarchiami, są raczej „ukoronowanymi demokracjami”. Jego wyznawcy uważają, że monarchia może posłużyć do budowy (lub odbudowy) i być elementem np. *Christianitas* czy libertariańskiego państwa ultraminimum (jako mniejsze zło, jeśli nie da się zaprowadzić ładu anarchokapitalistycznego – jak u Hansa-Hermanna Hoppego). Państwo,

**Założenie, że lepszy jest prosty układ jednowładztwa niż rozproszony akcjonariat demokracji, nie załatwia sprawy**

jakie mamy, z jego demoliberalnym relatywizmem i rozbuchanym opiekuńczym etatyzmem nam nie odpowiada – chodzi więc o to, by władca kierował się bliskimi nam wartościami (zostawiamy na boku pytanie o to, na ile są one prawdziwe – ważne jest, że są nam bliskie i zresztą często uznajemy je za uniwersalne, czy to w przypadku prawa Bożego, czy praw rynku, przyjmujących w niektórych nurtach libertarianizmu quasireligijną naturę). A jeśli będzie sprawował władzę samodzielnie, łatwiej będzie mu je realizować.

Problem w tym, że wcale nie musi kierować się bliskimi nam wartościami. W monarchizmie konserwatywnym wręcz warunkiem *sine qua non* jest istnienie chrześcijańskiego środowiska, w którym

ludzie autentycznie wierzą w boską legitymację króla. Monarcha jest Bożym pomazańcem, na co może odpowiedzieć dwojako: pokornie (gdyby nie Bóg, nie byłbym tu, gdzie jestem, w związku z czym muszę szukać takich decyzji, które byłyby zgodne z wolą Bożą) lub pysznie (jestem tu, bo tak chciał Bóg, w związku z czym moja wola jest wolą Boga) i nie zmieniają tego bezpieczniki osadzone w doktrynie przez św. Tomasza.

Paradoksalnie jednak monarchizm konserwatywny jest potencjalnie bardziej wolnościowy od libertariańskiego. W większości współczesnych ujęć władztwo dotyczy tylko kwestii politycznych, nie wtrąca się zaś w życie społeczne. Abstrahując od tego, że nie tylko obecnie trudno jest odzielić jedno od drugiego, Hans-Hermann Hoppe widzi wyższość monarchii nad demokracją w tym, że król jest właścicielem państwa i jako taki będzie dbał o jego dobrobyt, bo także jego dobrobyt od niego zależy. To ekonomiczne podejście cofa nas do epoki prerепublikańskiej, do czasów starożytnych despotów – w końcu wyższość politei (republiki) nad monarchią polegać miała na tym, że obywatele nie są już zależni od króla będącego panem ich życia i śmierci, ale decydują wspólnie. Ale nawet założenie, że lepszy jest prosty układ jednowładztwa niż akcjonariat rozproszony demokracji, w której wybranemu kadencyjnie zarządowi zależy jedynie na utrzymaniu się dłużej przy władzy, nie załatwia sprawy. Wewnętrzne sprzeczności tego podejścia zauważył słusznie Norbert Ślenzok w artykule „Hansa-Hermanna Hoppego libertariańska rehabilitacja monarchii. Analiza metodologiczna”, w którym wskazuje, że król będący właścicielem państwa wcale nie musi kierować się motywem zysku (co najmniej równie ważny może być motyw posiadania

realnej i nie rozproszonej władzy), a nawet jeśli kieruje się zyskiem – ergo dąży do tego, by państwo jak najlepiej prosperowało – to wcale nie musi zakładać, że szczytowym osiągnięciem ekonomii politycznej jest gospodarczy leseferyzm zalecany przez Austriacką Szkołę Ekonomii, której Hoppe jest zwolennikiem. Tak właściwie jedyną rękojmnią udanego z punktu widzenia libertariańskiego monarchisty funkcjonowania monarchii jest sytuacja, w której królem zostaje Hans-Hermann Hoppe, a z punktu widzenia konserwatyisty – Jacek Bartyzel. Ale i to byłoby za mało, gdyż obaj mogą w kwestiach szczegółowych wyznawać poglądy sprzeczne z naszymi, w związku z czym w ostatecznym rozrachunku królem (lub przynajmniej dyktatorem) powinienem zostać ja.

### **Ludzie nijacy i ludzie wybrani**

Można odnieść wrażenie, że prawica sceptyczna wobec tych ustrojów, w których to obywatele są podmiotem, a nie przedmiotem władzy – do których zaliczyć można zarówno różnego rodzaju demokracje, jak i republiki – zaludniona jest przez licznych pretendentów do tronu, których łączy chęć zaprowadzenia jedyne prawdziwego porządku przy pominięciu opinii publicznej. „Wziąć za mordę i wprowadzić liberalizm” trzeba wtedy, gdy ludzie nie rozumieją historycznej konieczności jego wprowadzenia, gdy nie dorosli do wolności i wolą nadal tkwić w obecnym systemie. Na boku zostawiamy to, czy ten program byłby dobry, czy zły, chodzi o metodę, która opiera się na totalnym niezrozumieniu dążeń i motywów mas. To myślenie obecne jest także u przedstawicieli innych nurtów ideowych, a jego lustrzanym odbiciem jest cyniczne podejście opierające się na wierze we wszech-

władzę spinu w polityce („ciemny lud to kupi”). I tu obraz dążeń i motywów mas jest zniekształcony, chodzi o to, by nimi grać i ugrywać to, co naszym zdaniem jest dobre dla Polski (albo dla nas).

Takie podejście ilustruje szersze zjawisko, szkodliwe także, jeśli nie chcemy obalać demokracji, mianowicie daleko idącego odseparowania osób należących do elity, albo aspirujących do tego, od mas. Granica między masą a elitami jest niebywale płynna, o czym pisze Jose Ortega y Gasset w swoim „Buncie mas”. „Pod słowem »masy« nie należy rozumieć wyłącznie czy przede wszystkim »mas robotniczych«. Masy to »ludzie przeciętni«. W ten sposób to, co było jedynie ilością, tłum, nabiera znaczenia jakościowego; staje się wspólną jakością, społeczną nijakością”. Nijaki mógł być onegdaj także szlachcic z urodzenia, dziś także osoba na wysokim stanowisku lub bogata – sprowadzając sprawę do absurdu nie tylko nasi rodzice mogli należeć do masy, ale także my raptem tydzień temu. Sprawa jest jednak bardzo poważna. „Człowiek wybrany to nie ktoś butny i bezczelny, uważający się za lepszego od innych, lecz ten, który wymaga od siebie więcej niż inni, nawet jeśli nie udaje mu się samemu tych wymagań zaspokoić. Nie ulega wątpliwości, że to właśnie jest najbardziej podstawowym kryterium podziału ludzkości na dwa typy osobników: tych, którzy stawiają sobie duże wymagania, przyjmując na siebie obowiązki i narażając się na niebezpieczeństwa, i tych, którzy nie stawiają sobie samym żadnych specjalnych wymagań, dla których żyć to jest pozostawać takim, jakim się jest, bez podejmowania jakiegokolwiek wysiłku w celu samodoskonalenia, to płynąć przez życie jak boja poddająca się biernie zmiennym prądom morskim”. W tym ujęciu nie wy-

starczy być arystokratą pieniądza, profesorem, politykiem czy publicystą, by należeć do elity. Wręcz przeciwnie – biznesmen, który nie kieruje się potrzebami klientów, a uważa, że nie tylko pierwszy, ale i kolejne miliony trzeba ukraść, naukowiec idący utartymi ścieżkami, o których wie, że doprowadzą go na szczyty, za to nic realnie nie wnoszący do rozwoju nauki, polityk zmieniający partie jak rękawiczki tylko po to, by mieć nieustanny udział w rencie władzy czy wydawca kształtujący linię swego medium nie pod kątem ukazywania prawdy, ale pod kątem dostępu do lukratywnego rynku reklamowego – oni wszyscy do elity nie należą.

### Ucho Prezesa

No dobrze, ale jak nie należą, skoro należą? Przecież to właśnie bardzo często tacy ludzie osiągają sukcesy i mają realny wpływ na gospodarkę, naukę, politykę czy opinię publiczną. To prawda, jednak temu nie zaradzi się, jedynie wierząc w odpowiednie uregulowanie mechanizmu doboru tych ludzi – choćby dlatego, że jest to niemożliwe, bo zawsze w ostatecznym rozrachunku rolę decydującą odgrywa czynnik ludzki. Nie ma ucieczki przed odpowiednim kształtowaniem cnót obywatelskich.

Zdaję sobie sprawę z tego, że to temat niesamowicie grząski. Sam niegdyś z pobłażaniem podchodziłem przykładowo do dzieł z przeszłości, które podkreślały np. idealne cechy „doskonałego senatora”, jak u Wawrzyńca Goślickiego czy właśnie u Ortegi y Gasset, jako do naiwnego moralizatorstwa. Tymczasem takie „moralizatorstwo” właśnie jest nam dziś, w dobie cynizmu, bardzo potrzebne. Parafrazując słowa Jana Pawła II, jeśli nie będziemy od siebie wymagać, inni także nie będą od nas wymagać.

Ludziom, którzy chcą iść na skróty i mankamentom demokracji chcą przeciwstawić jednowładztwo, brakuje często dwóch ze sobą powiązanych cnót, mianowicie pokory i słuchu społecznego. Obie są bardzo trudne. Człowiek świadomy posiadania wiedzy i szerokich horyzontów może czuć wyższość nad tymi, którzy tej wiedzy i horyzontów nie posiadają. To

**Właściwie jedyną rękojmią udanego z punktu widzenia libertariańskiego monarchisty funkcjonowania monarchii jest sytuacja, w której królem zostaje Hans-Hermann Hoppe, a z punktu widzenia konserwatysty Jacek Bartyzel**

on jest przeznaczony do kierowania państwem i społeczeństwem, masa zaś, jak pisze Gasset, „pojawiła się po to, by na nią wpływać, by ją reprezentowano, by ją organizowano – a nawet po to, by przestać być masą czy przynajmniej do tego zmierzać”. Elita ma więc nie być masą, ale nie jest od tego, by gardzić „tępych motłochem”. Na tym polegał błąd elit okrągłostołowych, które uważały że nadzedł czas moralnej i intelektualnej dyktatury „ludzi rozumnych”. Dobry pomysł nie zostanie zrealizowany – albo zostanie zrealizowany wadliwie – jeśli nie będzie brał pod uwagę uwarunkowań społecz-

nych: nie tylko zgody ludzi, ale także tego, na ile znajduje on swoje odbicie w ludzkiej mentalności (przykładowo prywatyzacja poprzez leasing pracowniczy na początku lat 90. udała się w niewielkim stopniu, gdyż ludzie nie byli przygotowani do tego, by pełnić funkcję właściciela). Nie oznacza to, że należy z niego rezygnować; chodzi o to, by społeczeństwo np. do niego uprzednio przygotować.

W innym kierunku idą nowe elity. Zagrożenie ze strony hiperdemokracji wynika z tego, że „umysły przeciętne i banalne, wiedząc o swej przeciętności i banalności, mają czelność domagać się prawa do bycia przeciętnymi i banalnymi i do narzucania tych cech wszystkim innym”. Nowe elity je do tego zachęcają, na co przykładem jest choćby retoryka prezydenta Andrzeja Dudy – sugerującego, że

to zwykli Kowalscy powinni wskazać, jakich zapisów chcą w konstytucji – i całego obozu PiS, dla którego ostatecznym argumentem na rzecz danego rozwiązania jest to, że „tego oczekują Polki i Polacy”. Takie podejście nie ma nic wspólnego ze słuchem społecznym – ucho Prezesa powinno być bowiem szeroko otwarte, ale mózg Prezesa winien przetwarzać zasłyszane informacje, kierując się własną ponadprzeciętną wiedzą i odrzucać to, co jest ewidentnie szkodliwe, nawet jeśli przyniosłoby poklask.

To, by przestać być masą, wymaga nieustannej pracy nad sobą, wypracowania w sobie także świadomości, że nasza wiedza jest nadal niewystarczająco wielka, horyzonty szerokie, a wrażliwość głęboka. To niezbędny patos, bez którego nie będzie dobrze funkcjonował żaden ustrój.

# Centrala nie rozwiąże problemów lokalnych

Z Elżbietą Hibner  
rozmawia Jarema Piekutowski



## ELŻBIETA HIBNER

Polityk, urzędnik państwowy i samorządowy,  
od 2006 do 2010 członek zarządu województwa łódzkiego

**Budżety samorządów zdążają do równowagi, czego nie da się powiedzieć o budżecie państwa. Polskie doświadczenie pokazuje, że efektywniejsze jest takie zarządzanie, które uwzględnia zasadę pomocniczości**

***Zacznę od nieco prowokacyjnego pytania: po co w ogóle zwiększać decyzyjność i kompetencje samorządów? Skąd przekonanie, że zarządzanie na poziomie gminy, powiatu, województwa będzie skuteczniejsze i lepsze niż administracja centralna z delegaturami?***

Na tym polega zasada pomocniczości – można ją wywodzić z bardzo różnych idei: ze społecznej nauki Kościoła lub z rewolucji francuskiej. Jeśli jednak rozmawiamy o samorządzie, to rozmawiamy o państwie. Nie da się z poziomu urzędów centralnych usytuowanych w stolicy objąć wszystkich problemów ludzi mieszkających na tak dużym terytorium jak nasz kraj.

Są też twarde dane, pokazujące, że zarządzanie w samorządach jest po prostu bardziej efektywne. Choćby raport Fundacji Rozwoju Demokracji Lokalnej pt. „Realizacja usług publicznych w jednostkach samorządu terytorialnego – ogra-

niczenia, możliwości, rekomendacje”. Z dokonanej tam analizy finansów samorządu wynika, że wydatki inwestycyjne w samorządach są prawie dwukrotnie większe niż odpowiednie z budżetu państwa. Ponadto budżety samorządów zdążają do równowagi – niewielkie deficyty, a obecnie nadwyżka – czego nie da się powiedzieć o budżecie państwa. Polskie doświadczenie przywrócenia samorządu i drugiego szczebla – powiatów – pokazuje, że efektywniejsze jest takie zarządzanie, które uwzględnia zasadę pomocniczości.

***Porozmawiajmy o obecnych i planowanych przez rząd Prawa i Sprawiedliwości zmianach w samorządzie. Zmiany te przede wszystkim idą w stronę centralizacji. Może to dobry sposób na to, by nie było samowoli, by samorządy nie stawały się lokalnymi kacykosciami?***

Wskazałam, że nie da się z poziomu centrali efektywnie rozwiązywać problemów lokalnych. Na przykład proponowana przez rząd PiS-u krajowa sieć szpitali to rozwiązanie ryzykowne. Jestem zwolenniczką regionalnej sieci szpitali. Oczywiście szpitale wysokospecjalistyczne powinny mieć zasięg krajowy, ale do wykonywania standardowych procedur powinny służyć szpitale, które są bliżej pacjenta.

**Kluczowe stanowiska państwowe sprawują historycy lub miłośnicy historii rządzący bez użycia współczesnej wiedzy o gospodarce, technologiach czy metodach zarządzania**

***A z drugiej strony wzmocnienie administracji rządowej może pozwolić na ujednoczenie realizowanej polityki. Dotąd samorządy bardzo różniły się w realizacji polityk rozwojowych.***

I nie ma w tym niczego złego, bowiem Polska jest krajem zróżnicowanym pod wieloma względami, stąd konieczność prowadzenia zróżnicowanych polityk na poziomie lokalnym i regionalnym. Nie można mylić samodzielności z samowolą. Jeśli jednak mamy do czynienia z omijaniem bądź łamaniem prawa, to wkroczyć powinien nadzór wojewody. Wojewodowie mogliby wprowadzić standardy zadań wykonywanych przez samorządy. Często jednak – według mnie – wojewodowie nie bardzo odnajdywali się w tej roli.

Jeśli wojewoda ma w terenie wśród władz samorządowych własnych kolegów partyjnych, to nie będzie sprawował efektywnego nadzoru. Przy okazji drugiego etapu reformy administracji publicznej pojawił się sensowny pomysł na umieszczenie wojewody – podobne jak u francuskiego prefekta. Miał on być terenowym ministrem i nadzorować administrację publiczną poza miejscem stałego zamieszkania. Wówczas (lata 1998/99) ten pomysł spotkał się ze zdecydowanym sprzeciwem. Zarówno członkowie rządu, jak i posłowie chcieli koniecznie mieć „swojego” wojewodę, który miał znać specyfikę województwa. To podejście osłabiające kompetencje i efektywność nadzoru.

***Może w takim razie dobry jest pomysł dwukadencyjności w samorządach, popierany przez PiS?***

Przy lokalnych wyborach byłabym ostrożna z ograniczaniem liczby kadencji. Już w poprzednich wyborach obserwowaliśmy w wielu gminach brak chętnych na radnych. Jeśli ograniczymy kadencje wójtów w małej gminie wiejskiej do dwóch, może się okazać, że do kolejnej kadencji nikt się nie zgłosi.

W dużych miastach mamy z kolei inny problem. Kierowanie złożonym organizmem generującym liczne komplikacje i konflikty interesów może przerastać kompetencje jednej osoby, nawet najlepiej wykształconej. Można by rozważyć powrót do zarządów miast (zarządy takie funkcjonowały do 2002 r. – przyp. JP), wybieranych lub zatwierdzanych przez rady miejskie, co nie przeszkadza bezpośrednio wyborowi wójta, burmistrza, prezydenta.

***PiS planował także uniemożliwić kandydowanie komitetów obywatelskich w wyborach do sejmików wojewódzkich.***

To cios wymierzony w społeczeństwo obywatelskie. Niska frekwencja w wyborach samorządowych byłaby jeszcze niższa.

***A czy twórcy komitetów obywatelskich nie mogliby zakładać partii?***

Problem polega na tym, że my nie mamy dobrych wzorców zakładania partii. Od początku III RP mamy do czynienia z partiami wodzowskimi. One charakteryzują się tym, że jest wódz i gromada pretorianów, wspierających wodza. Efekt jest taki, że nie ma sensownej debaty politycznej o charakterze programowym zarówno wewnątrz struktur partyjnych, jak i na zewnątrz, pomiędzy partiami. Brakuje konkurencji idei i programów, a najważniejsi politycy w kraju, często nie mając doświadczenia samorządowego, nie rozumieją mechanizmów i procesów dotyczących społeczności lokalnych, małego i średniego biznesu czy lokalnych instytucji kultury.

W zachodnich demokracjach droga do profesjonalnej polityki rozpoczyna się od struktur lokalnych, samorządowych, co pozwala zdobyć doświadczenie i wiedzę o mechanizmach funkcjonowania państwa w wielu jego aspektach. W Polsce kluczowe stanowiska państwowe sprawują historycy lub miłośnicy historii rządzący bez użycia współczesnej wiedzy o gospodarce, technologiach czy metodach zarządzania. Wodzowie partyjni, zapatrzeni w wielkie postaci historyczne, na ogół nie dostrzegają wyzwań współczesności. Myślę, że przyszłość polityki należy do organizacji konkurencyjnych wobec partii wodzowskich.

Przypuszczam, że będą to struktury o charakterze sieciowym, a nie hierarchicznym.

***Jarosław Kaczyński twierdzi, że obecnie nadzór nad samorządami jest fikcją. Co sądzi pani o zwiększeniu kontroli rządu nad Regionalnymi Izbami Obrachunkowymi? Premier będzie obsadzał stanowiska prezesów izb. Rząd wskazuje, że konieczny jest większy nadzór, bo w samorządach jest dużo patologii. Prezydenci miast mówią, że to „zamach na samorzady”.***

Oczywiście, w warunkach ułomnej ludzkiej natury może tak być, że wpływ na prezesa oznacza wpływ na jurysdykcję. Ale zmiany personalne nie są najważniejsze. Chodzi o to, by opinie RIO z jednej strony były faktycznie wiążące, miały konsekwencje dla organów jednostek samorządu terytorialnego, ale nie ograniczały ich samodzielności. To trudny, ale możliwy kompromis.

***Porozmawiajmy o szczegółowych zmianach. Od 1 stycznia 2018 r. powiatowe i wojewódzkie urzędy pracy (PUP, WUP) mają przejść pod jurysdykcję wojewodów, czyli z administracji samorządowej do rządowej. Czy pani zdaniem ten projekt podniesie czy zmniejszy efektywność polityki rynku pracy?***

Oczywiście, że zmniejszy. Rola wojewody, o czym wspominałam, polega na nadzorze, a nie przejmowaniu kompetencji struktur lokalnych i regionalnych. Wojewoda powinien mieć służby do kontrolowania tego, co robią samorzady, przede wszystkim – czy działają zgodnie z prawem.

***A może powiatowe urzędy pracy w ogóle zlikwidować? Były takie pomysły,***



**żeby np. część działań przenieść do ośrodków pomocy społecznej – w odpowiedzi na raporty NIK wskazujące bardzo niską efektywność urzędów pracy.**

Jeżeli powiatowe urzędy pracy stałyby się częścią starostw powiatowych, to byłby to bardzo rozsądny i pożądany krok, gdyż wzmacniałby administrację powiatową w ogóle. Po co dodatkowa jednostka, dodatkowa administracja, dodatkowe stanowiska kierownicze? Wiele instytucji można byłoby włączyć w struktury urzędów – np. Powiatowe Centra Pomocy Rodzinie.

**Rząd przejmuje także instytucje związane ze środowiskiem i rolnictwem (Ośrodki Doradztwa Rolniczego, Wojewódzkie Fundusze Ochrony Środowiska) z myślą o centralnym prowadzeniu polityki środowiskowej i rolnej.**

To bardzo nieroztropny krok. Także w dziedzinie ochrony środowiska mamy bardzo zróżnicowane uwarunkowania lokalne i regionalne. Pewne zmiany należy jednak wprowadzić. Nie ma żadnego powodu, by fundusze wojewódzkie miały rozbudowane struktury na wzór spółek prawa handlowego. Liczne, wysoko opłacane stanowiska to synekury dla polityków rządzącej partii. Można by bez przeszkód przyłączyć WFOS-ie do budżetów województw (nie wojewodów).

**W rządzie PiS-u pojawiają się co jakiś czas plany zwiększenia liczby województw (województwo środkowopomorskie, częstochowskie, warszawskie). PO chciało z kolei zmniejszyć tę liczbę. Która z tych opcji jest lepsza?**

Dwie kotwice powinny zostać niezmiennione – struktury gminne i wojewódzkie. Podział wojewódzki został wypracowany w bardzo długiej debacie politycznej, nie warto ruszać tego konsensusu. Powiększenie liczby województw oznacza osłabienie potencjału rozwojowego. Nie tędy droga – my musimy mieć silne regiony, odpowiadające regionom europejskim. Natomiast łączenie województw musiałoby doprowadzić do awantury, spowodowanej naruszeniem regionalnych interesów i aspiracji. Partia, która to zaproponuje, może pożegnać się z reelekcją.

**Podział wojewódzki został wypracowany w bardzo długiej debacie politycznej, nie warto ruszać tego konsensusu**

Można się zastanowić nad zmniejszeniem liczby powiatów. Tu jest miejsce na debatę. Można byłoby stworzyć instrumenty motywujące do łączenia powiatów – np. przez finansowe zachęty, dodatkowe subwencjonowanie dla powiatów, które się połączą. Da się wyliczyć, że byłoby to bardzo opłacalne.

Jednak to nie powinna być kolejna reforma, a ewolucyjny proces w kierunku optymalizacji struktur. To wymaga stałego monitorowania i badań. W każdym regionie powinien funkcjonować ośrodek badawczy łączący zadania biura planowania przestrzennego, gospodarczego i strategicznego.

***Co jeszcze przeszkadza samorządom działać?***

Brak władztwa podatkowego. Dziś samorządy mogłyby badać opinię publiczną lub przeprowadzać referenda choćby za pomocą Internetu – na temat wprowadzenia podatku celowego, np. na budowę drogi czy przedszkola. Władztwo podatkowe byłoby przypięczeniem podmiotowości samorządu, ale też zwiększałoby jego odpowiedzialność.

***Co jeszcze należałoby zmienić w szeroko pojętym systemie administracji, by lepiej funkcjonowała?***

Z pewnością trzeba by zmniejszyć obciążenie województwa instytucjami miejskimi – przestać dzielić instytucje kultury – teatry, filharmonie, muzea – na miejskie i wojewódzkie. Urząd marszałkowski nie jest do tego potrzebny. Należałoby przekazać kompetencje organów założycielskich do miast, w szczególności na prawach powiatu, dla wszystkich instytucji miastotwórczych. Dotyczy to także szpitali.

Ustrój państwa, w tym podział kompetencji pomiędzy różnymi instytucjami, powinien kształtować się w drodze debaty, której dziś nie ma. Jeśli nie ma debaty, to państwo staje się łupem.

**JAREMA PIEKUTOWSKI**

Socjolog, kierownik projektów badawczych, społecznych i kulturalnych

## Dużo teatru, trochę nadziei



**ROMAN GRACZYK**

Dziennikarz i publicysta

**Macron dokonał rzeczy niezwyklej, ale czy z tego wynika, że jego rządy, teraz już mające oparcie w solidnej większości parlamentarnej, zapowiadają się rzeczywiście jako przełomowe?**

Pierwsze wrażenie, jakie narzuca się w analizie francuskiej sceny parlamentarnej po wyborach do Zgromadzenia Narodowego, to poczucie dogłębnej wymiany kadr: nie tylko w znaczeniu politycznym, ale i osobowym. Gdy chodzi o wymiar polityczny: na lewicy Partia Socjalistyczna jest w ruinie, na prawicy Republikanie ponieśli największe straty w całej historii tej partii i jej protoplastów od założenia V Republiki w 1958 r. Gdy chodzi o wymiar ludzki: Nowe Zgromadzenie Narodowe będzie się składało w 75 proc. z nowych deputowanych. Wreszcie, jeszcze nigdy nie zasiadało w tym gremium tyle kobiet (40 proc.), co w izbie wybranej 4 i 18 czerwca.

### Po politycznym trzęsieniu ziemi

Wszystko to są owoce zjawiska, które jeszcze wczesną jesienią ubiegłego roku – gdy ówczesny minister gospodarki odchodził z rządu i faktycznie rozpoczynał swoją kampanię prezydencką – wydawało się jakimś mirażem. Temu zjawisku na imię: Emmanuel Macron. Wiele na ten

temat napisano na świecie i w Polsce, nie ma powodu tu tego powtarzać. Jest faktem, że ten młody człowiek dokonał rzeczy we francuskiej polityce uchodzącej za niemożliwą, przychodząc spoza systemu partyjnego, a zdobywając szturmem i Pałac Elizejski, i Pałac Burboński (siedzibę Zgromadzenia Narodowego), zarazem przełamując niewzruszony – wydawałoby się – podział lewica–prawica. Ugrupowanie nowego prezydenta usytuowało się w środku sceny parlamentarnej i już chociażby z tego powodu uczyniło wszelką opozycję wewnątrznie niespójną, a więc o tyleż mniej skuteczną.

Istotnie, Macron dokonał rzeczy niezwyklej, ale czy z tego wynika, że jego rządy, teraz już mające oparcie w solidnej większości parlamentarnej, zapowiadają się rzeczywiście jako przełomowe? Czy te rządy zapowiadają znalezienie narzędzia politycznego, którego na próżno poszukiwali wszyscy poprzednicy młodego prezydenta od czasów Giscarda d'Estaing, a które pozwoli przełamać blokady dotąd ryglujące rozwiązanie wielu narosłych

przez lata problemów? Moim zdaniem taki wniosek byłby nieuprawniony. Nie wiemy – naturalnie – czym jeszcze zaskoczy nas prezydent Macron, ale dziś, oceniając jego spektakularną operację zdobycia władzy na zimno, trzeba w niej zauważyć niemało elementów PR-owskiej reżyserii, jeśli nie zgoła przewagę tych elementów nad materią czystej polityki.

### Entuzjazm podszyty nieufnością

Już podczas wyborów prezydenckich uważano, że niekłamanemu entuzjazmowi – nazywano to zjawisko: *Macromanie* – pewnej części elektoratu towarzyszy dystans innych jego części. Jeden z sondaży przeprowadzonych w dniu drugiej tury, przeciw zwycięskiej dla kandydata Macrona, mówił, że 40 proc. jego wyborców oddało na niego głos przede wszystkim ze strachu przed Marine Le Pen, a z kolei w innym sondażu zaraz po wyborach 60 proc. Francuzów wyrażało pogląd, że nie chcą, żeby Macron miał „swoją” większość parlamentarną. Wprawdzie na fali sukcesu prezydenckiego także partia prezydencka zaczęła gwałtownie rosnąć w sondażach, ale powyższe liczby coś mówią i nie powinny być łatwo zapomniane. Jeszcze do nich powrócę.

Gdyby ktoś chciał dowodu na to, że w polityce Macrona jest sporo politycznego teatru, niech spojrzy na problem moralności publicznej. Macron na tym hasle zbudował niemałą część swojej kampanii, zresztą wydaje się, że nie wygrałby tych wyborów, gdyby nie potężne kłopoty – właśnie tego rodzaju – kandydata Republikańców François Fillona. Macron zapowiadał, że zaraz po wyborach prezydenckich przystąpi do budowania ustawowej zaporę dla nieuczciwych praktyk w życiu publicznym i taką próbę rzeczy-

wicie podjął. Pierwszy projekt ustawy, który stanął na posiedzeniu Rady Ministrów, nosił nazwę ustawy o „umoralnieniu życia politycznego”, a dotyczył głównie minimalizowania sytuacji konfliktu interesów, na jakie mogą być narażeni politycy.

### Po drugiej turze wyborów do Zgromadzenia Narodowego powszechnie notuje się zaskoczenie relatywnie małą skalą sukcesu partii prezydenckiej

Wszelako jeszcze przed wyborami parlamentarnymi prasa ujawniła nazwiska dwóch ministrów, którzy są podejrzani o niemoralne praktyki: jeden z partii Macrona – Richard Ferrand – na styku polityki i biznesu, drugi z partii sojuszniczej – François Bayrou, zresztą, co dodaje sprawie pikanterii, minister sprawiedliwości – w zakresie finansowania posłów do Parlamentu Europejskiego. Korzystając z okazji rutynowej dymisji rządu po wyborach parlamentarnych, prezydent najpierw skłonił Richarda Ferranda do odejścia z rządu, dając mu w zamian wpływowe stanowisko szefa klubu parlamentarnego La République en Marche w Zgromadzeniu Narodowym, a następnie odeszli ministrowie z partii Modem (Mouvement Démocratique) kierowanej przez Bayrou: Sylvie Goulard (obrona), Marielle de Sarnez (sprawy europejskie) i sam Bayrou. Szef Modem-u zaprzecza oskarżeniom, ale – jak dotąd – wydaje się, że fakty nie przemawiają na jego korzyść. Wizerunek rządu już został nadszarpnięty, chodziło

jedynie o to, by ten proces nie posuwał się dalej.

Co się tyczy samej ustawy, to jej pierwotne ambitne plany zostały mocno ograniczone, a nawet wycofano się z – przynajmniej – pretensjonalnej nazwy. Teraz nazywa się ona ustawą „na rzecz zaufania do naszego życia demokratycznego”. Wszystko to razem pokazuje, że dużo łatwiej zapowiadać głęboką zmianę obyczajów politycznych, niż rzeczywiście złe obyczaje wykorzenić, choćby tylko zaczynając od własnego dobrego przykładu w tej materii.

## **Jeden z sondaży przeprowadzonych w dniu drugiej tury mówił, że 40 proc. wyborców Macrona oddało na niego głos przede wszystkim ze strachu przed Marine Le Pen**

Drugi najważniejszy projekt rządu Macrona, którego premierem jest Edouard Philippe, to reforma kodeksu pracy – jego znaczne uelastycznienie. Macron zaczął tę reformę jako minister gospodarki w socjalistycznym rządzie, teraz chce doprowadzić rzecz do końca. Sprawa jest diabło trudna, bo związki zawodowe są wielu z proponowanych zmian pryncypialnie przeciwne i już zapowiadają protesty. Prezydent jeszcze w kampanii wyborczej anonsował, że reformę tę przeprowadzi za pomocą rozporządzenia z mocą ustawy i tego pomysłu się trzyma. Jeśli mu się uda, będzie to pierwszy poważny dowód na realne istnienie czegoś

takiego jak metoda Macrona, służąca do czegoś więcej niż tylko polityczne sztuczki. Z oceną trzeba wstrzymać się do jesieni.

## **II tura: demokratyczna korekta**

Po drugiej turze wyborów do Zgromadzenia Narodowego powszechnie notuje się zaskoczenie relatywnie małą skalą sukcesu partii prezydenckiej. Owszem, sukces jest, partia zdobyła samodzielnie większość parlamentarną, ale jej „urobek” w okolicach 310 mandatów (a 350 razem z sojuszniczą partią François Bayrou) to relatywnie mało w porównaniu z zapowiadaniem po pierwszej turze sukcesem rzędu 450 mandatów.

Tu przypominają się sondaże z 7 maja i tuż po, które wskazywały, że ogół wyborców odnosi się do nowego prezydenta mało entuzjastycznie. Wprawdzie nie stało się tak, jak miesiąc temu chciało 60 proc. wyborców, to znaczy Emmanuel Macron jednak ma solidną większość, ale pomiędzy pierwszą a drugą turą tych wyborów stało się coś, co można by nazwać demokratyczna korekta. Zanosilo się na quasi-monopol polityczny obozu Macrona, a wyborcy na tę perspektywę powiedzieli „co za dużo, to niezdrowo” i – jak gdyby – wycofali się z zamiaru obdarzenia go większością, która sprowadzałaby opozycję do rozmiarów symbolicznych. W rzeczywistości opozycja jest słaba i podzielona, ale nie jest symboliczna. Wyborcy jak gdyby powiedzieli: ten młody człowiek jest nader oryginalny, dużo obiecuje, trzeba mu dać szansę, ale zarazem trzeba mu patrzeć na ręce.

Innym wyrazem ograniczonego zaufania do nowej władzy, ale i w ogóle do polityki, jest frekwencja najniższa w historii V Republiki: tylko 43 proc. wyborców poszło 18 czerwca do urn. Owszem, trzeba

pamiętać, że w wyborach prezydenckich na przełomie kwietnia i maja frekwencja wyniosła 77 i 75 proc., a część z tych, którzy pozostali przy kolejnych wyborach w domu, uczyniła tak w przekonaniu, że sprawy zasadnicze zostały już rozstrzygnięte. A jednak takie następstwo czasowe, czyli wybory do Zgromadzenia Narodowego zaraz po wyborach prezydenckich, nie jest niczym nowym, zaś frekwencja jest obecnie znacznie niższa niż w 2002, 2007 i 2012 r. Jakiś problem więc jest i częściowo jest to problem ograniczonego zaufania do nowego obozu politycznego, który tak niespodziewanie wygrał wszystko. Czy wygra przyszłość, to znaczy, czy zacznie rozwiązywać najważniejsze problemy, których nie potrafiły rozwiązać kolejne lewicowe i prawicowe rządy od kilkudziesięciu lat? Tego nie wiemy.

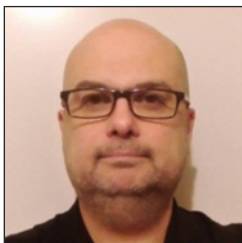
Wiemy jednak, jakie to problemy. Wysokie bezrobocie, deficyt finansów publicznych, niemoc Unii Europejskiej, której Francja – rzekomo – jest jednym z silników, niski poziom bezpieczeństwa publicznego, groźba katastrofy ekologicznej, załamanie systemu edukacji, problemy

masowej imigracji, która w niepokojąco wysokim stopniu nie integruje się, tworząc swoiste getta i – jak się mówi słusznie, ale politycznie niepoprawnie – „zagubione terytoria Republiki”. Wszystkie te problemy zaczęły się w dobie Giscarda d’Estaing, nie potrafili ich rozwiązać wszyscy kolejni prezydenci i ich rządy, mimo że instytucje polityczne V Republiki raczej temu sprzyjały.

Jak na razie zachęcająco wypadły zagraniczne występy nowego prezydenta (szczyt NATO, szczyt G-7) oraz jego udział w posiedzeniu Rady Europejskiej 22 i 23 czerwca. Światowe reakcje na te pierwsze kroki pokazują, jak wielkie są oczekiwania wobec Francji i jak wielki jest głód „nowej jakości” w polityce Francji w świecie i w Unii Europejskiej.

Jeśli Macronowi się uda, zostanie z pewnością okrzyknięty człowiekiem opatrnościowym. Może dobrą wróżbą dla nowego prezydenta jest fakt, że zdobył „swoją” większość parlamentarną w dniu 18 czerwca – tak symbolicznym dla drogi politycznej generała de Gaulle’a? A może to tylko zwykły zbieg okoliczności?

## O Rosji bez znieczulenia



### FILIP MEMCHES

Dziennikarz Polskiego Radia 24.

W latach 2012–2017 publicysta i redaktor magazynu „Plus Minus”

**Ideologią rosyjskiej elity politycznej jest populizm. To nim się kierują nihilści w szatach konserwatyzmu – ludzie, którzy nie tylko instrumentalnie traktują religię, ale i poczucie dumy narodowej**

W marcu bieżącego roku Teatr Telewizji wyemitował spektakl „Listy z Rosji” w reżyserii Wawrzyńca Kostrzewskiego, na motywach głośnej książki francuskiego podróżnika i dyplomaty Astolphe de Custine’a z roku 1839. Pod względem artystycznym to rewelacja. Szczególnie imponująca okazała się gra dwójki aktorów – Haliny Łabonarskiej i Adama Ferencego – w rolach Carycy (Aleksandry) i Cara (Mikołaja I). W mistrzowski sposób udało im się wyrazić lodowaty chłód rosyjskiej północy, „mieszanię czułości i okrucieństwa”.

Było jednak w tym spektaklu coś uwierającego. Kostrzewski tak w sztuce rozłożył akcenty, że widza mającego dystans do poruszanych w niej problemów, a więc patrzącego na Rosję oczami de Custine’a, mogło razić polonocentryczne ujęcie tematu. Przybyły z Francji wolny człowiek, podróżując po imperium carów, przeżył szok poznawczy. Nie było to jednak to samo, co zsyłka powstańca polskiego na Syberię i podobne traumy.

Ta różnica doświadczeń dzieli świadka (Francuza) i ofiary (Polaków). Skądinąd trudno od polskiego reżysera XXI stulecia oczekiwać, by w naszych czasach – po operacji polskiej NKWD, po zbrodni katyńskiej – przyjął perspektywę XIX-wiecznego francuskiego arystokraty.

O spektaklu Kostrzewskiego przypomniałem sobie, czytając zbiór szkiców Piotra Skwieceńskiego „Kompleks Rosji”. Właśnie dlatego, że autor, niegdyś korespondent „Rzeczpospolitej” w Moskwie, dziś zastępca redaktora naczelnego tygodnika „wSieci”, rozprawia się w swojej książce z polonocentryzmem. Skwieceński przede wszystkim obnaża fałszywe nadwiślańskie wyobrażenia o Rosji. Czyli jednak Polak potrafi.

I tak publicysta stwierdza bez ogródek: „Najważniejszym elementem polskiego ducha (a rozumiem pod tym splotem emocji i związanych z tymi emocjami kolein intelektualnych) jest głębokie przekonanie, że jesteśmy obiektem strasznej kryzysy. Właśnie – jesteśmy. Nie tylko

byliśmy w przeszłości. Jesteśmy nadal. A ta krzywda przychodzi z zewnątrz. Ze złego świata, który na nas czyha. Oczywiście – istnieją też polscy zdrajcy. Ale nic by nie poczuli, gdyby nie obce potęgi”.

Dalej zaś czytamy: „Te potęgi mają w naszym myśleniu przypisywane na wieczność role. Zniewala nas otóż Rosja. (...) A Zachód nas zdradza”. Zdaniem Skwieceńskiego Polacy żyją „w świecie wiecznej Jałty”.

**Prawda często nie jest wygodna i zmusza do rewizji własnych przekonań – takich jak przeświadczenie o wiekuistej moralnej i politycznej wielkości sarmackiego narodu, okupionej wielowiekowymi prześladowaniami ze strony mocarstw ościennych**

Autor zauważa, że „kompleks niższości wobec »prawdziwej Europy«” pociąga za sobą „żenujące często zebranie o bycie przez »prawdziwą Europę« zaakceptowanym”. Tyle że – dodaje – ów kompleks jest obrotowy: „kompleks niższości wobec Zachodu rekompensujemy sobie kompleksem wyższości wobec Wschodu”.

I bynajmniej nie są to zarzuty kogoś, kto pozuje na realistę politycznego, który szermując wybiórczo argumentami stańczyków i endeków, gromiłby polską romantyczną mitologię. Skwieceński szczerze

wyznaje, że spiera się z tym, co tkwi głęboko w nim samym, więc nie okazuje swoim rodakom, że czuje się mądrzejszy od nich.

A jakie są owe wspomniane fałszywe wyobrażenia? To dziś choćby rojenia polskich lewicowo-liberalnych inteligentów o innej, alternatywnej Rosji – szlachetnej, miłującej wolność, demokratycznej. Chodzi rzecz jasna o Rosję bez Władimira Putina i innych polityków, którzy są w oczach Polaków uosobieniem wschodniego, amoralnego despotyzmu połączonego z agresywnymi, imperialnymi postawami wobec sąsiadów.

Tyle że taka Rosja nie istnieje. A dziś, abstrahując od tego, że w tym kraju uaktywniła się opozycja antysystemowa, Putin cieszy się realnym poparciem społecznym, bo spełnił oczekiwania Rosjan. Skwieceński przypomina, że gospodarz Kremla obiecywał swoim rodakom „odbudowę potęgi państwa i stabilizację wewnętrzną. I tych obietnic dotrzymał”.

Ponadto powszechna aprobata Rosjan dla autorytarnego charakteru reżimu putinowskiego wynika generalnie ze stosunku tego narodu do swobód politycznych. Autor przywołuje okres przewrotu bolszewickiego i wojny domowej, kiedy kluczem do politycznego sukcesu partii Lenina okazała się brutalna determinacja w ratowaniu państwa rosyjskiego. Skwieceński, zgłębiając duszę rosyjską, wskazuje w niej pierwiastek autodestrukcyjny, na który jedynym lekarstwem jest silna i twarda władza państwowa.

Taki sąsiad jawi się Polakom jako wróg egzystencjalny. W ich myśleniu zatem publicysta odkrywa wręcz wątki eksterminacyjne w odniesieniu do Rosji. Przesada? Gdyby Skwieceński miał na myśli świadomą chęć eksterminacji fizycznej, to byłaby to po prostu bzdura.



Jemu jednak chodzi o coś innego: „nie sposób wyobrazić sobie takiej Rosji, na której istnienie wielu Polaków łaskawie wyraziłoby zgodę. No chyba że zredukowaną do roli Wielkiego Księstwa Moskiewskiego z XIV wieku”.

Poza tym, według Skwieceńskiego, Polacy patrzą na historię swoich stosunków ze wschodnim sąsiadem w kategoriach dziejowej niesprawiedliwości, za jaką poczytują utratę pozycji mocarstwowej na korzyść Rosji w XVII wieku. Tymczasem – zdaniem publicysty – „chwilowa mocarstwowość Rzeczypospolitej była efektem przypadku – znacznego osłabienia Rusi przez najazdy tatarskie, co umożliwiło ekspansję książąt litewskich”.

Ten ostatni cytat – z którego wynika, że wyłonienie się w środku Europy sarmackiej potęgi było czymś przypadkowym – trudno wielu Polakom przyjąć do wiadomości. Jak widać, zastępca redaktora naczelnego „wSieci” realizuje jednak dewizę Józefa Mackiewicza: „Tylko prawda jest ciekawa”. A skoro tak, to prawda często nie jest wygodna i zmusza do rewizji własnych przekonań – takich jak przesądzenie o wiekuiściej moralnej i politycznej wielkości sarmackiego narodu, okupionej wielowiekowymi prześladowaniami ze strony mocarstw ościennych, w dodatku niedocenianej czy wręcz nieostrzeganej przez resztę świata.

Skądinąd teza o niezdolności Rosji do demokracji powinna się podobać w kraju, którego niejedyni mieszkańcy poczuwają się do dziedzictwa sarmackiego republikanizmu i żywi poczucie cywilizacyjnej wyższości nad wschodnimi tyraniami.

Ale Skwieceński, prześwietlając przypadłości duszy polskiej, analizuje też paradoksy polityki rosyjskiej, które okazywały się samobójcze. Autor „Kompleksu Rosji” sięga pamięcią do pierwszej połowy XIX

wieku, kiedy książe Adam Czartoryski prowadził swoją grę z Mikołajem I.

Według publicysty polski arystokrata zdawał sobie sprawę z tego, że w politykę rosyjską jest wbudowany pewien ogranicznik efektywności i sukcesu. To „brak poczucia miary”, to „pycha, powodująca zbyt otwartą agresywność”. Dlatego „w decydujących momentach różnych rozgrywek Rosja nie jest w stanie powstrzymać się przed zachowaniami, które prowadzą do sprzeciwienia się jej nawet tych, którzy pierwotnie wcale nie byli skłonni do takiego sprzeciwu. Odwrotnie – bardzo chcieliby kompromisu. Ale właśnie kompromisu, a nie poniżającego dyktatu”.

O prawdziwości tej obserwacji mogliśmy się przekonać i w XXI stuleciu. Kreml potrafił nie tylko popsuć reset stosunków z Białym Domem i generalnie z Zachodem (w tym z rządzącą Polską w latach 2007–2015 ekipą Platformy Obywatelskiej, do pewnego momentu naiwnie wierzącą w „europeizację” Rosji), ale i zrazić do siebie tak prorosyjskiego polityka, jakim jest Aleksander Łukaszenko. Być może z tej przyczyny w przyszłości będą mieli też dosyć Putina ludzie pokroju Marine Le Pen.

Nie można również pominąć tego, że Skwieceński zabiera głos w kwestiach dotyczących sporów kulturowych. I na tym polu także idzie pod prąd polskim lewicowo-liberalnym salonem. Im bowiem odpowiada sytuacja, w której Kreml kreuje siebie na lidera konserwatystów całego świata, stawiającego czoła „Gejropie”. W ten sposób można interpretować konflikt reżimu putinowskiego z opozycją antysystemową jako manichejską konfrontację Zła, nacjonalistyczno-prawosławnej prawicy, z Dobrem, ludźmi, dla których prawa człowieka równoznaczne są z kulturowym przekształcaniem społeczeństwa,

w tym z nadawaniem przywilejów mniejszościom seksualnym.

Skwieceński zwraca uwagę na to, że antyklerykalizm środowisk dążących do radykalnych zmian w Rosji to droga donikąd. Zdaniem publicysty takie akcje, jak profanacja świątyni w moskiewskim Soborze Chrystusa Zbawiciela, dokonana przez grupę Pussy Riot – pomijając aspekt moralny takich skandalicznych wystąpień – bynajmniej nie służą pozyskaniu poparcia społecznego dla opozycji antysystemowej.

**Zgłębiając duszę rosyjską,  
autor wskazuje w niej  
pierwiastek  
autodestrukcyjny, na który  
jedynym lekarstwem jest  
silna i twarda władza  
państwowa**

Czy dlatego że Rosjanie naprawdę są pobożnym narodem? Nie, ale jeśli nawet nie żyją według zasad prawosławnej wiary, to odnoszą się do niej z szacunkiem.

I tu dochodzimy do jednego z najbardziej frapujących wątków książki Skwieceńskiego – do pytania o konserwatyzm społeczeństwa rosyjskiego. Autor inspirowany jest reportażem „Jądro dziwności” (oryginalny tytuł: „Nothing is True and Everything is Possible”) brytyjskiego dziennikarza, który w dzieciństwie wyemigrował z ZSRR, Petera Pomerantsewa.

Pomerantsev określa Rosję XXI wieku mianem „postmodernistycznej dyktatury”. Opisuje kraj, który nie jest tradycjonalis-

tyczną arkadią, lecz w którym po krachu komunizmu, po bankructwie wielkich narracji kształtujących w przeszłości zbiorową wyobraźnię Rosjan zapanował absolutny cynizm. Skwieceński tak komentuje uwagi brytyjskiego dziennikarza: „Rosja, w myśl tej wizji, jest trendsetterem zła. Nie niesie w świat konserwatyzmu. Niesie pustkę”.

Gdyby miały się o tym przekonać na własnej skórze rozmaite marginalne grupy w Polsce, dla których Putin jest bohaterem walki ze „zgniłym” Zachodem, jakże byłyby rozczarowane. Okazałoby się bowiem, że ich idol to wzorzec do entej potęgi tego wszystkiego, co w swoich deklaracjach odrzucają, a nie konserwatysta stawiający na prymat duchowości nad konsumpcyjnym stylem życia.

Możemy z tego wysnuć wniosek, że szacunek do prawosławia jest u Rosjan warunkowy. Będzie on trwał tak długo, jak długo Cerkiew będzie się powstrzymywać przed eskalacją roszczeń wobec państwa, która mogłaby skutkować konfliktem z nim. A tak właśnie jest teraz. Znamienne, że władze rosyjskie, wbrew oczekiwaniom Cerkwi, nie wprowadzają znaczących ograniczeń, jeśli chodzi o prawo do aborcji, bo spotkałoby się to z niezadowolaniem ludu. Aż dziw bierze, że „Gazeta Wyborcza” nie dostrzega tej troski reżimu putinowskiego o „prawa reprodukcyjne” rosyjskich kobiet.

Ideologią rosyjskiej elity politycznej jest populizm. To nim się kierują nihilści w szatach konserwatyzmu – ludzie, którzy nie tylko instrumentalnie traktują religię, ale i poczucie dumy narodowej. Dla nich nie Cerkiew i Rosja są najważniejsze, lecz zachowanie władzy politycznej i zwłaszcza pomnażanie majątku.

A jednak Skwieceński stwierdza, że nie należy lekceważyć retoryki Kremla.

Publicysta uważa bowiem, iż nie jest politycznie istotne, czy obranie przez władze rosyjskie konserwatywnej linii jest szczere, lecz to, czy będzie ona trwała i konsekwentnie realizowana.

Jeśli jednak z książki Skwiecińskiego miałyby wynikać, że konserwatyzm to je-

dynie ideologiczna fasada, to ów wniosek zadawałby kłam w Polsce zarówno propagandzie lewicowo-liberalnych salonów, piętnujących antygejowskie kampanie reżimu putinowskiego, jak i zachwytom użytecznych idiotów, którzy w Rosji upatrują zwiastuna moralnej odnowy świata.

## W poszukiwaniu elit percepcyjnych



**RAFAŁ MATYJA**

Stały współpracownik „Nowej Konfederacji”

**Czy roli odchudzonego i inteligentniejszego RCSS nie mogłaby pełnić jakaś konfederacja ambitnych mediów, internetowych think tanków, korzystająca ze wsparcia byłych polityków? Czy nie mogłaby tej roli pełnić jakaś prosta publiczna ankieta organizowana wspólnie przez ośrodki o różnych politycznych i ideowych sympatiach?**

Jakich elit potrzebuje taki kraj, jak Polska? Kraj, który jest za duży, żeby zachowywać się jak europejskie peryferie, ale nie ma zasobów na to, by zachowywać się jak europejskie mocarstwo – takie jak Niemcy, Francja czy Wielka Brytania. Który nie jest ojczyzną języka, którym mówi spora część świata – jak Hiszpania – ani kolebką zachodniej cywilizacji – jak Włochy. A mimo to chciałby partnerskich relacji ze wszystkimi tymi krajami. Chiałby mieć wpływ na politykę Unii Europejskiej i całego Zachodu w sprawach takich, jak polityka wobec Rosji, bezpieczeństwo energetyczne kontynentu, mechanizmy zrównoważonego rozwoju czy polityka rolna. Który chciałby dorównać europejskim partnerom w kwestii poziomu życia i rozwoju innowacji przemysłowych.

Optymalna byłaby sytuacja, w której istniałyby elity społeczne zdolne do definiowania długofalowych strategii, wymuszania ich na myślących w kategoriach jednej kadencji i partyjnego interesu po-

litykach. Dobrze byłoby mieć elity definiujące w tej wydłużonej perspektywie interes państwowy, zdolne przenosić na nasz grunt dobre praktyki z innych krajów, ale także zainteresowane promocją polskich osiągnięć na zewnątrz. Widzące swój interes w sile państwa, sprawności gospodarki i sprawiedliwości urządzeń społecznych.

Takich elit nie mamy z różnych powodów. Ich odbudowa wykracza poza perspektywę jednego pokolenia. Ale nie może to być wymówka usprawiedliwiająca kolejne zaniechania. Są pewne działania, które można podjąć całkiem szybko, bez wielkich nakładów, nawet w niekorzystnym otoczeniu politycznym.

### Elity percepcji

Kluczową rolę ma zatem krąg, który nazwałbym „elitami percepcji”, nie w sensie pretensjonalnego pojęcia „arystokracji rozumu”, jakiegoś mandaryńskiego to-

warzystwa wzajemnej adoracji, ale sporego kręgu ludzi, zdolnych do tego, by stać się „oczami i uszami” państwa, umysłami zdolnymi do przewidywania zagrożeń i okazji, tworzenia alternatywnych scenariuszy, poważnego dyskusyjnego wariantów rozwojowych obliczonych na lata. Te „elity percepcji” dziś istnieją co najwyżej w formie przetrwalnikowej, obezwładnione beznadziejną kulturą organizacyjną instytucji, które taką pracę intelektualną powinny w sposób systematyczny prowadzić. Co więcej, nie mają nawet dobrych kanałów komunikacji. Prasa opiniotwórcza

### **Tylko najlepsi politycy stawiają naprawdę interesujące i wskazujące nowe perspektywy pytania**

stała się w większości stronicza i pełni funkcje pożyteczne dla politycznych plebion, lekceważąc perspektywę państwa jako całości. Fora debaty przekraczające polityczne podziały zanikają. Nie pełnią tych funkcji komunikacyjnych instytucje akademickie, rzadko wykraczające poza perspektywę jednej dyscypliny, unikające trudnych diagnoz „dużych zagadnień”, nie doceniające roli praktyków, zwłaszcza w sferze polityki czy administracji.

W tej sytuacji nie mamy do czynienia z żadną „elitą” w sensie grupy zdolnej do komunikowania się, dyskusji i współpracy, a jedynie z luźną partyzantką, opierającą się na indywidualnych kontaktach, śledzeniu czyichś publikacji, doraźnych rekomendacjach, krążeniu w przestrzeni internetowej ciekawych tekstów. Brakuje

im zatem punktu odniesienia – instytucji publicznej odpowiedzialnej za korzystanie z potencjału, jaki posiadamy. Można pisać do znużenia o potrzebie odtworzenia w jakiejś formie RCSS, przyjmować za dobrą monetę zapowiedzi powołania zespołu analitycznego w KPRM, doceniać rozmach różnych reformatorskich deklaracji. Ale tak naprawdę jest to zawstydzające.

Skoro państwo nie potrafi się zainteresować zbieraniem i przetwarzaniem tego typu wiedzy, to może warto pomyśleć o tym w zupełnie inny sposób – jako o wiedzy, która stanowi pewien kapitał obywatelski, a zatem państwowy, choć ignorowany przez konstytucyjne organy państwa. Kapitał, którego wytwórcy są przede wszystkim zainteresowani, by ktoś wziął ich pod uwagę, docenił i poddał pod krytyczny namysł. Ktoś powie, że to idealizm? Nieprawda. W ten sposób powstawały w latach osiemdziesiątych – a zatem jeszcze w czasach PRL – załączki reform samorządowych, które przeprowadzono przy pierwszej nadarzającej się okazji. Gdyby nie istniały kręgi eksperckie skupione wokół profesorów Regulskiego, Kuleszy i Podgórskiego, bardzo trudno byłoby przeprowadzić w 1990 r. reformę wykraczającą poza demokratyzację wyborów do Rad Narodowych.

### **Węzły sieci**

Oczywiście w warunkach odrodzonego i niepodległego państwa, wolności słowa, większej dostępności informacji i kontaktów międzynarodowych można znacznie więcej. Gdyby część instytucji przekształcić tak, by mogły wziąć na siebie rolę węzłów swego rodzaju „sieci percepcyjnej” i współpracowały w budowaniu

szerszego niż dotąd obrazu polskich spraw, to efekt byłby z pewnością bardzo silny. Zwłaszcza że w wielu sferach – energetyka, stosunki międzynarodowe, polityka regionalna – nie brakuje dobrze działających struktur i profesjonalnych ekspertów.

Warto jednak sformułować kilka warunków podstawowych takiej pracy. Takie elity muszą być możliwie zróżnicowane, zarówno gdy chodzi o kompetencje, jak i doświadczenie zawodowe, przekonania polityczne, wiek, płeć i wszystko, co może owocować ważnymi spostrzeżeniami i prowadzić do korekty wcześniej zdobytej wiedzy. Wystarczy zatem, by organizując konferencje eksperckie, debaty publiczne czy tworząc media, mieć na uwadze nie tylko cele „perswazyjne”, przekonanie innych do własnej opinii, ale także udział w szerszym przedsięwzięciu percepcyjnym.

Zasada, w myśl której instytucje akademickie, eksperckie i poważniejsze media starają się brać pod uwagę głosy poszerzające nasz punkt widzenia, powinna też mieć swój wymiar geograficzny. W ostatnich latach poznałem wiele ciekawych punktów widzenia formułowanych przez ludzi mieszkających poza wielkimi miastami, kluczowymi ośrodkami akademickimi – w Nowym Sączu, Bielsku-Białej, Rzeszowie, Legnicy, Świdnicy itp. Co ciekawe, ich punkt widzenia często odbiega od akademicko-medialnej sztam, jest skonfrontowany z innym doświadczeniem zawodowym i społecznym. I całkowicie niewykorzystany.

Węzły percepcyjnej sieci powinny być zatem zróżnicowane nie tylko, gdy chodzi o zakres zainteresowań, zdolne do dokonywania konfrontacji wiedzy akademickiej, eksperckiej i praktycznej, ale także zdolne do czerpania z wiedzy nieco schowanej – dostępnej poza Warszawą

i Krakowem. Moim marzeniem jest istnienie utrzymywanych przy wsparciu publicznym i pluralistycznych politycznie think tanków regionalnych, pracujących nie tylko na potrzeby władz województw, ale także myślących w kategoriach części i całości równocześnie.

## **Wytwórcy kapitału obywatelskiego są przede wszystkim zainteresowani tym, żeby ktoś wziął ich pod uwagę, docenił i poddał pod krytyczny namysł**

To jest marzenie trudne, bo logika działania zbyt często podpowiada nam obsadzanie wszystkich tego typu instytucji kolegami, ludźmi myślącymi podobnie jak aktualna – wszystko jedno czy ogólnopolska, regionalna czy miejska – władza. Ale może mimo to kogoś skusi myśl, że taki obywatelski think tank, nie opierający się na dziesiątkach etatów, ale na krótkich dobrych diagnozach czy rekomendacjach i organizowanych wokół nich debatach, jest w zasięgu każdego z samorządów województw i każdego dużego i średniego miasta. Mógłby powstać przy każdej większej uczelni, przy udziale ambitniejszych dziennikarzy. Pewnym pozytywnym krokiem w tej sferze był pomysł MSZ z poprzedniej kadencji o uruchomieniu Regionalnych Ośrodków Debaty Międzynarodowej, ulokowanych poza stolicą i angażujących do debaty na temat polityki zagranicznej właśnie elity regionalne.

## Stawianie pytań

Wbrew pozorom najtrudniejszym elementem opisanego wyżej procesu jest stawianie pytań. Bez odpowiedniego doświadczenia trudno jest bowiem wymyślić te, które formułowane są aktualnie w kontekście rządzenia państwem, na poziomie premiera i prezydenta, ale także ministrów, marszałków województw, prezydentów. I które dotyczą nie tylko szczegółowych rozwiązań, ale także bardzo ogólnych diagnoz. Często nie są to te same tematy, które absorbują media i opinię publiczną. Często nie znamy też kontekstu finansowego, organizacyjnego czy międzynarodowego stawianych pytań, nie orientujemy się w układzie politycznych nacisków oraz personalnych opinii i stanowisk. Dlatego też spora część pracy eksperckiej to interesujące cząstki oderwane od szerszego kontekstu, puzzle pozbawione porządkującego je obrazka. To zresztą sprawia, że praca eksperta – zwykle abstrahującego od tego kontekstu – bardzo różni się od pracy doradcy, który zawsze stosuje ekspercką wiedzę kontekstowo.

Dobre stawianie pytań istotnych dla kształtowania polityki państwa to także jeden z najtrudniejszych aspektów rządzenia. Tylko najlepsi politycy stawiają naprawdę interesujące i wskazujące nowe perspektywy pytania. Od lat nie słyszymy ich w ogóle. Skoro nie padają one z Pałacu Prezydenckiego – a powinny paść na posiedzeniach specjalnie po to skonstruo-

wanej Narodowej Rady Rozwoju – skoro nie zadaje ich ów wyspecjalizowany ośrodek analityczny przy premierze, to warto zastanowić się nad „uspołecznieniem” także tego procesu.

Czy roli odchudzonego i inteligentniejszego RCSS nie mogłaby pełnić jakaś konfederacja ambitnych mediów, internetowych think tanków, korzystająca ze wsparcia byłych polityków? Czy nie mogłaby tej roli pełnić jakaś prosta publiczna ankieta organizowana wspólnie przez ośrodki o różnych politycznych i ideowych sympatiach? W kraju, w którym tak mało jest działania wspólnego, podjęcie takiej skromnej akcji mogłoby być też pewnym krzepiącym sukcesem społecznym, mającym także dobre konsekwencje w sferze politycznej.

Dziś bardzo często rząd jest zakładnikiem stosunkowo wąskich grup eksperckich, zaprzyjaźnionych z daną partią lub od lat walczących o monopol na doradanie w jakiejś wyspecjalizowanej dziedzinie. Proponowany mechanizm dawałby szansę na branie pod uwagę także pomysłów i opinii osób, które nie mają za sobą długiej kariery w instytucjach eksperckich, zasobów organizacyjnych czy osobistych kontaktów. Istotną zasadą funkcjonowania całego przedstawionego wyżej mechanizmu wzmocnienia „elit percepcji” byłaby transparentność, pozwalająca na zapoznanie się z wynikami badań wszystkim zainteresowanym.

## Przed wojną



### KAMIL SASAL

Politolog, doktorant historii  
na Uniwersytecie Jana Kochanowskiego w Kielcach

**Polityka zagraniczna oraz strategia bezpieczeństwa w Polsce stała się ofiarą marketingu wyborczego. To nie przypadek. Sami jesteśmy temu winni – uznaliśmy, że politycy to tylko drobne „cwaniaczki” zasługujące na pogardę**

System międzynarodowy przed rokiem 1914 cechował się rosnącą nierównowagą. Obecnie została ona naruszona przez Federację Rosyjską, a całość zmierza w stronę nowej wojny hegemonicznej. Podobnie jak wtedy wielobiegunowy system międzynarodowy okazał się wysoce nieprzewidywalny, a ryzyko wielkiej konfrontacji w celu przebudowania areny międzynarodowej na korzyść podmiotów, które nie dojrzały do demokracji i rezygnacji z siły, rośnie. Imperializm wciąż jest niewygasłą formą zdobywania prestiżu i nowych terytoriów – nie zniknął całkowicie. Tylko jego ostateczna klęska może doprowadzić do końca historię zmagania o uznanie. Celem dojrzałych demokracji nie jest wyłącznie dbanie o swój dobrobyt, ale dokończenie walki z tyranią, aby proces rozszerzania wolności doszedł do końca.

Rok 1914 przypomina o pewnych aspektach przeszłości, które mogą mieć miejsce w niedalekiej przyszłości. Tworzenie predykcji w oparciu o przykłady historyczne może być obciążone ryzykiem

poważnego błędu oraz stanowić próbę zbyt „wulgarnego” przeniesienia tego, co już było, na czasy nam współczesne. A zarazem nie można całkowicie zrezygnować z pouczających przykładów minionych wydarzeń, ponieważ może to świadczyć o ignorancji i przeświadczeniu, że nie powtarzamy swoich błędów.

Przez chwilę spróbujmy wczuć się w sytuację generalnego dowódcy niemieckich sił zbrojnych, który uruchomił całą maszynę wojenną w momencie wybuchu pierwszej wojny światowej. Transporty kolejowe ruszyły, cała logistyka pracuje już na osiągnięcie założonych planów – tego potwora nie da się już zatrzymać, on będzie już tylko rósł i pożerał kolejne miliony. Militarne zmiany technologiczne pozwoliły osiągnąć większą siłę ognia w niszczeniu zasobów ludzkich i materialowych przeciwnika. Większy potencjał mobilizacyjny stworzył zjawisko wojny totalnej na wyniszczenie. Te czynniki będą miały jeszcze większe znaczenie i niszczący charakter obecnie. Użycie wszystkich do-



stępnym możliwości militarnych może oznaczać ryzyko powstania bardzo krótkiego i niszczącego konfliktu światowego lub jego przejście w wojnę trwającą latami aż do załamania się przeciwnika. Jednak upadek monarchii rosyjskiej, niemieckiej i austriacko-węgierskiej umożliwił w 1918 r. powstanie niepodległej Polski. Kolejna wojna w 1939 r. niestety doprowadziła do końca II Rzeczypospolitej, ponieważ istniały antywolnościowe siły, które wciąż nastawały na wolność narodów nieuznających chęć podboju. Ten proces wciąż trwa, na wschodzie nadal funkcjonuje zagrożenie niezłamane pochodem demokracji.

### **Strategia powstrzymywania i nuklearna rewolucja**

Pierwsza wojna światowa wytworzyła impas między walczącymi stronami z powodu skuteczności w zabijaniu na masową skalę. Druga wojna światowa po początkowych sukcesach wojny błyskawicznej przeszła w fazę strategicznego niszczenia Niemiec. Amerykanie są w tej historii wyjątkowi, ponieważ w pewnej wypowiedzi z 1941 r. – jeszcze na długo zanim został prezydentem – Harry S. Truman stwierdził, że należy pomóc Rosjanom pokonać Niemcy, ale tak, by zginęło też równie dużo Rosjan (J. L. Gaddis, 2007 r., s. 15).

Było to możliwe dzięki posiadanym zasobom i szerokiemu marginesowi do popełniania błędów. Stany Zjednoczone wytworzyły z czasem potencjał dający im supermocarstwową pozycję bez konieczności okupowania rozległych terytoriów. Po 1945 r. wytworzona równowaga strachu przed wojną nuklearną spowodowała szereg wojen ograniczonych w peryferyjnych rejonach świata. Ogromnego znaczenia nabrała strategia powstrzymywania au-

torstwa Geорга Kennan'a (*Długi Telegram*, 1946 r.) i odstraszenia przeciwnika, co zostało ściśle połączone z potencjałem państwa, jakością jego systemu politycznego oraz posiadaniem głębi strategicznej.

## **Okres względnego spokoju pomiędzy latami 1945 a 2017 można potraktować jako odroczenie w czasie wojny hegemonicznej na skalę światową**

Dzisiejsza technika wojskowa o znacznie większej i precyzyjniejszej sile ognia nie została dotychczas wykorzystana w dużym i bezpośrednim konflikcie między największymi potęgami światowymi. Okres względnego spokoju pomiędzy latami 1945 a 2017 można potraktować jako odroczenie w czasie wojny hegemonicznej na skalę światową. Czy ten moment właśnie się zbliża? Czy może znajdzie ujście w kolejnych konfliktach zastępczych jako forma rywalizacji strategicznej na wyczerpanie?

### **Koniec amerykańskiej hegemonii?**

Zajęcie Krymu przez Rosję w 2014 r. okazało się skuteczne dzięki szybkości działania. Szybki manewr był konieczny, aby nie dać czasu na przeciwdziałanie przeciwnikom na arenie międzynarodowej. Jednak ten czynnik został wyczerpany z powodu przeniesienia działań wojennych na wschód Ukrainy, które przeszły w etap wojny przewlekłej. Działania Moskwy mogą się wydawać niedorzeczne i nie-

udane, ale wciąż są poza ryzykiem wojny nuklearnej i przenoszą aktywność tego państwa na rywalizację strategiczną, jakiej Stany Zjednoczone mogą nie podolać.

## **Marcowy szczyt Unii Europejskiej na Malcie obnaża na przyszłość ryzyko nierespektowania znaczenia Polski w gronie państw uważających siebie z zasady za silniejsze**

Upadek wielkich potęg często bierze się z przeciążenia ich kosztami, które rosną wraz z koniecznością utrzymania znaczących sił zbrojnych przy spadającym potencjale gospodarczym. I chociaż USA są dotychczas niekwestionowaną potęgą, to nie są już w stanie prowadzić dwóch dużych wojen jednocześnie z graczami wagi ciężkiej. Wybuch wojny na arenie pacyficznej będzie oznaczał konieczność przeniesienia części sił kosztem tych znajdujących się w Europie. Bezpieczeństwo państw Europy Wschodniej nie jest do końca pewne – jest ona tym rejonem, który pomimo swojego znaczenia można poświęcić. Kluczem do panowania w Europie są Niemcy ze względu na potencjał przemysłowy. W przypadku wojny i niekorzystnego rozwoju sytuacji strategicznej, np. zbyt dużej przewagi sił konwencjonalnych Federacji Rosyjskiej, rezygnacja z obrony wschodniej części kontynentu europejskiego i przejście do rokowań może być podyktowane chęcią zyskania na czasie. Pomimo animozji między Wa-

szingtonem a Berlinem zatrzymanie Niemiec w koalicji demokratycznej będzie miało pierwszeństwo przed Warszawą. Polska w dużym stopniu musi udowodnić, że jest w stanie się obronić przy ograniczonej pomocy sojuszniczej.

### **Europejska szachownica**

Marcowy szczyt Unii Europejskiej na Malcie z druzgocącą porażką polskiego rządu obnaża na przyszłość ryzyko nierespektowania znaczenia Polski w gronie państw uważających siebie z zasady za silniejsze. Koniec amerykańskiej strategii powstrzymywania w wielobiegunowym świecie może zakończyć się filmową wizją z norweskiego serialu *Okkupert*. Serial ukazuje proces stopniowego szantażu Norwegii przez Rosję, z włączoną w to Unią Europejską i wraz z niechętnymi ingerować w sytuację Stanami Zjednoczonymi. W przypadku Polski tego typu geopolityka na obecną chwilę nie jest prawdopodobna, ale jakkolwiek przegrany konflikt z Rosją mógłby oznaczać perspektywę powołania w Warszawie rządu skłonnego zaakceptować rosyjską strefę wpływów.

Pomimo życzliwego nastawienia Niemiec do Polski celem niemieckiej racji stanu jest zmuszenie Warszawy do przyjęcia ewolucji Unii Europejskiej w podmiot jeszcze mocniej scentralizowany, który będzie w znacznie większym stopniu podlegał europejskiej hegemonii Berlina. Teoretycznie jest to właściwe działanie, jeśli jego ceną będzie europejski pokój a bierze się to z chęci obrony wytworzonego dobrobytu. Dominacja Niemiec w UE może się dalej rozwijać dzięki surowcowej zależności od Rosji, a do tego potrzebny jest kompromis i porozumienie w sprawie określenia nowej strefy wpływów. Niestety jest to dosłownie obrona wygodnej kon-

sumpcji, a zarazem zatrzymanie procesu demokratyzacji państw poza granicami Unii Europejskiej. Przekonanie niemieckiego partnera do rezygnacji w przyszłości z próby ułożenia relacji z Rosją kosztem partnerów wschodnio-europejskich jest niezbędne, aby znów nie wracać do polityki koncertu mocarstw.

### **Groch z kapustą po polsku**

Polska w tym układzie nie jest dość silna z powodu braku intelektualnego potencjału w zakresie polityki zagranicznej oraz myślenia strategicznego o bezpieczeństwie. Polityka buńczucznych słów – ciągłego wstawania z kolan – będzie odbierana jako arogancja, a z tego typu reakcją można sobie poradzić tylko w sytuacji posiadania statusu mocarstwa. Jesteśmy w wyjątkowej okoliczności historycznej, kiedy na zachodzie nie zagraża nam żadne niebezpieczeństwo. Brak szczerego w intencjach i działaniach sojuszu polsko-niemieckiego grozi wepchnięciem Berlina w objęcia Moskwy, która kusi bogactwami naturalnymi.

Polityka zagraniczna oraz strategia bezpieczeństwa w Polsce stała się ofiarą marketingu wyborczego. To nie przypadek. Sami jesteśmy temu winni – uznaliśmy, że politycy to tylko drobne „cwaniaczki” zasługujące na pogardę. Nie schylamy się tak nisko, nie chcemy poniżyć się festiwalem kłamstw codziennie serwowanym w telewizji. W gruncie rzeczy zaakceptowaliśmy negatywny dobór polityków do tego fachu. Spór polityczny premiuje osoby na tyle sprytne, by sprawnie działać w ramach totalnego konfliktu na arenie wewnętrznej. W efekcie tworzona demokracja jest zbudowana na iluzji i działa zrywami w sytuacjach kryzysu, nie tworząc sprawnych instytucji, gdyż te wymagałyby

mądrych i oddanych służbie publicznej ludzi. Jeżeli pragniemy pokoju w naszym sąsiedztwie i upadku zgniłych, skorumpowanych systemów politycznych na wschodzie, to musimy przedstawiać alternatywę na wysokim poziomie intelektualnym. Przebudowa państwa według Prawa i Sprawiedliwości ma pewne zalety, ale za to jedną i to bardzo wielką wadę. W sytuacji przegranej w wyborach kolejny rząd ponownie będzie przebudowywał system.

### **Celem niemieckiej racji stanu jest zmuszenie Warszawy do przyjęcia ewolucji Unii Europejskiej w podmiot jeszcze mocniej scentralizowany**

Budowanie własnej pozycji przez poszczególnych ministrów oraz rekrutacja swoich ludzi do instytucji publicznych i spółek skarbu państwa odwracają uwagę od skutecznego rządzenia. Rywalizacja pomiędzy członkami rządu, pozycja premiera i prezydenta w zderzeniu z partyjnymi wodzami i ich partyjnymi folwarkami niszczy prestiż i wizerunek państwa w oczach obywateli. Strategia państwa jest iluzją, gdyż w rzeczywistości liczy się interes partyjny.

Giovanni Sartori w swojej *Teorii demokracji* przedstawił znaczenie okoliczności, w której zwolennicy zwycięskiej większości w sytuacji zmiany poglądów mogą przejść do przeciwnej mniejszości, co jest warunkiem trwania demokracji: „ (...) Właśnie dlatego, że może w każdej

chwili zmienić swoje poglądy z uznawanych przez większość na poglądy mniejszości. W owym przyzwoleniu na zmianę przekonań nie tylko zasadza się jego wolność, lecz także dzięki niej trwa sama demokracja jako otwarty samosterujący się ustrój. Wolność każdego jest zarazem wolnością wszystkich. Nabiera ona najbardziej autentycznego i konkretnego znaczenia, kiedy znajdujemy się w mniejszości”.

Na tę chwilę tego typu migracje są traktowane niczym zdrada lub zaprzęstwo. Dwie największe siły polityczne zdają się sugerować brak alternatywy wyborczej. To poważny problem, ponieważ praktyki władzy obu partii pomimo różnic – w gruncie rzeczy są takie same – państwo jest dojną krową dla interesów partyjnych. Konstruktynne myślenie pro państwowe i strategia są obce partiom politycznym, zdolnym zniszczyć własne państwo w imię krótkoterminowych korzyści.

Warto pamiętać o tragicznym losie II Rzeczypospolitej, gdyż jednym z wielu aspektów jej upadku była ślepotą elit politycznych, które źle traktowały wszelką krytykę. Brak realizmu politycznego miał bardzo duży związek z niską kulturą polityczną. Obecnie wyzwaniem dla państwa polskiego będzie stworzenie jakościowo lepszych instytucji przy założeniu, że decydenci polityczni zaufają racji stanu własnego państwa, a nie kryterium lojalności politycznej, której wrogiem jest wiedza i zdolność do krytycznego myślenia.

Pierwsza wojna światowa oraz okres zmagania po drugiej wojnie światowej uzmysławiają przyczynę upadku systemów politycznych działających przeciwko wolno-

ści. Jest nią długotrwała walka strategiczna w realiach odstraszenia lub bezpośredniego starcia. Zwycięstwo w tego typu walce jest realne, kiedy istnieje zgoda co do najważniejszych celów politycznych w państwie.

Doskonała strategia dąży do uniknięcia starcia i pokonania przeciwnika jego własnymi słabościami wewnętrznymi. Dlatego też nie można opierać swojej suwerenności na słowach mających za zadanie wypełnić w polityce to, czego w zasadzie nie ma. Polacy są trudnym przeciwnikiem po przegranej wojnie. Czy musimy ćwiczyć ten paradoks jeszcze raz? Poniższe słowa są literackim przykładem braku realizmu w zderzeniu z silniejszym przeciwnikiem: „Drogi nadłożyłem też dlatego, że ostatni raz byłem w PKO razem z pułkownikiem i majorem Tomaszewskim, zastępcą i rotmistrzem Chochołem ze szwadronu cekaemów, w dzień kapitulacji, ale przed ogłoszeniem jeszcze, Tomaszewski dostał Virtuti, Chochoł też Virtuti, a ja Walecznych dostałem za nic, więc byliśmy w PKO, w podziemiach, ja taktownie z tyłu, nie odzywam się, bo tam generały: Rómmel, Kutrzeba, Tokarzewski, Czuma stoją nad mapami, palą papierosy, pokonani, skapitulowani, przegrani, Polskę przesrali, ale stoją nad mapami, pozapinani pod same szyje, srebrne kołnierzyki, generalskie pistoleciki w kaburach maleńkich przy dupie, damki szóstki czy siódemki, akurat takie, żeby sobie w łeb palnąć, ale jakoś sobie żaden nie palnął, chociaż oddali wszystko, co było do oddania, nie tylko guzik od płaszcza” (fragment książki *Morfina* Szczepana Twardocha, s. 15).

## Muzeum Drugiej Wojny Światowej: opowieść ucziwa



### ŁUKASZ WARZECHA

Komentator polityczny,  
publicysta „Faktu”, „wSieci” i „Do Rzeczy”

**Gdańska placówka budziła krytykę jeszcze, zanim powstała. Tymczasem prof. Paweł Machcewicz stworzył bardzo profesjonalną i atrakcyjną wystawę o historii z polskim wątkiem.**

Na tablicy kończącej wystawę stała w Muzeum Drugiej Wojny Światowej w Gdańsku wciąż na pierwszym miejscu widnieje nazwisko prof. Pawła Machcewicza jako autora koncepcji merytorycznej i scenariusza ekspozycji. Jak długo tak będzie – nie wiadomo. Paweł Machcewicz, który muzeum stworzył i którego autorską koncepcję ono prezentuje, nie jest już jego dyrektorem. Od momentu połączenia – na mocy decyzji ministra kultury i dziedzictwa narodowego – placówki z Muzeum Westerplatte na początku kwietnia nowym szefem obu muzeów jest dr Karol Nawrocki, wcześniej naczelnik Biura Edukacji Publicznej w gdańskim oddziale IPN.

Nad Machcewiczem czarne chmury zbierały się od momentu dojścia PiS do władzy. Muzeum Drugiej Wojny Światowej w zaprojektowanej przez niego postaci nie budziło entuzjazmu części polityków PiS-u oraz kręgów bliskich partii rządzącej. Szczególnie tych, którzy wspierają bardzo asertywną wersję polityki historycznej. Asertywną i, można by rzec, nieco łopatologiczną, przypominającą sztampową,

oficjalną wersję historycznego mitu, serwowaną Polakom przez coraz bardziej sklerotyczne władze sanacyjne w latach 30. XX wieku.

Przyczyny odwołania Machcewicza były w najoczywistszy sposób polityczne – muzeum powstało dzięki jego prywatnie bliskim stosunkom z Donaldem Tuskiem, co za rządów PiS było obciążeniem. Bliski znajomy Tuska po prostu nie mógł kierować jedną z kluczowych placówek muzealnych w Polsce, niezależnie od tego, jak bardzo była ona jego autorskim dziełem. Oskarżeniom w oczywisty sposób sprzyjała realizowana przez rząd Tuska polityka swoistego appeasementu wobec Berlina. Ciąg wnioskowania był prosty: skoro Tusk robi wszystko, aby się Niemcom przypodobać, a Machcewicz jest jego znajomym i z jego poparciem tworzy muzeum, to jasne jest, że to muzeum będzie promowało wizję wygodną dla Platformy i Tuska. Ten automatyzm działania nowej władzy musi budzić sprzeciw w każdym, kto bardziej od partyjnych lojalności ceni sobie instytucje państwa. Czy Mach-

cewicz, pozostając na stanowisku, byłby gotów podjąć dyskusję o korektach ekspozycji (korektach, nie radykalnej zmianie) – to inna kwestia.

**Konflikt wokół Muzeum  
Drugiej Wojny Światowej  
jak w soczewce skupia  
szerszy spór pomiędzy  
„rewolucjonistami”  
a bardziej umiarkowanymi  
konserwatystami o to, w jaki  
sposób pokazywać historię,  
jak o niej opowiadać i jak  
realizować politykę  
historyczną**

Jednak niezależnie od tego politycznego aspektu sprawy, konflikt wokół Muzeum Drugiej Wojny Światowej jak w soczewce skupia szerszy spór pomiędzy „rewolucjonistami” a bardziej umiarkowanymi konserwatystami o to, w jaki sposób pokazywać historię, jak o niej opowiadać i jak realizować politykę historyczną. Wizja Machcewicza była oskarżana – zanim jeszcze muzeum zostało otwarte, wyłącznie na podstawie informacji o stworzonym dopiero scenariuszu wystawy – o to, że zbyt słabo wskazuje, kto jest winien wybuchu wojny, że relatywizuje, że zbyt mało promuje polski punkt widzenia.

Obserwując nie tyle nawet obecny radykalizm niektórych osób zajmujących się sprawami historii i edukacji bliskich władzy, które krytykowały wystawę, co przede wszystkim sztuczność i nachalność

ich działań, zahaczające momentami o zwykłą i w dodatku nieumiejętnie rozbioną propagandę (niestety, dotyczy to także sztandarowego dla polityki historycznej PiS-u zagadnienia Żołnierzy Niezłomnych), można mieć poważne wątpliwości co do efektywności proponowanych przez te środowiska metod. Tym bardziej warto przypomnieć wstrzemięźliwe i rozsądne głosy postaci o najwyższym autorytecie naukowym, które się w tej sprawie pojawiały i które nadal mogą mieć wpływ na sytuację muzeum. Rok temu, w sierpniu 2016 r., gdy narastały kontrowersje wokół losów placówki i samego Machcewicza, wspólny list w tej sprawie opublikowali profesorowie Timothy Snyder (członek Kolegium Programowego muzeum) oraz prawdopodobnie najwybitniejszy dzisiaj polski historyk Andrzej Nowak. „Żaden z nas nie zaprojektowałby wystawy Muzeum II Wojny Światowej dokładnie tak, jak ona wygląda dzisiaj. Obaj uznajemy jednak, że wystawa oddaje zarówno prawdę historyczną w wymiarze ogólnego obrazu wojny, jak i szczególne miejsce w niej Polski. Jesteśmy zgodni, że Muzeum II Wojny Światowej, w jego obecnej formie, stwarzałoby wyjątkową szansę dla Polaków, by dowiadywali się o wojnie poza Polską, a dla zagranicznych zwiedzających szansę poznawania polskiej historii” – pisali naukowcy.

**Sprawdzić samemu**

Muzeum zostało otwarte, Machcewicz stracił stanowisko.

Uznałem, że jedynym sposobem, aby wyrobić sobie zdanie o zaprojektowanej przez niego wystawie, jest jej zwiedzenie. Na początku czerwca spędziłem w Muzeum Drugiej Wojny Światowej ponad siedem godzin, starając się możliwie do-

kładnie zwiedzić ekspozycję. Te siedem godzin – choć wydaje się ogromnie długo jak na jakiegokolwiek muzeum podobnego typu – to i tak za mało, żeby zagłębić się we wszystko. Na to trzeba by poświęcić około dwóch dni.

Staralem się podejść do wystawy bez uprzedzeń, choć trudno mi było nie pamiętać choćby o tym, jak niedługo wcześniej prezes IPN namaszczony przez PiS, dr Jarosław Szarek, grzmiał po zwiedzeniu muzeum, że skandalem jest, iż postaci takiej jak rotmistrz Pilecki poświęcono zaledwie 20 centymetrów kwadratowych. Uwagi Szarka pachniały populizmem – nie powinno się wygłaszać takich stwierdzeń, kierując je do szerokiej publiczności, która nie jest w stanie ocenić kontekstu, w jakim znalazła się w ekspozycji dana postać, bo tej ekspozycji, jej układu i logiki nią rządzącej nie zna. Odłożyłem zatem na bok żale dr. Szarka, traktując je jako konieczny trybut składany władzy, dzięki której prezes IPN jest tam, gdzie jest.

Co zatem można powiedzieć o muzeum w jego obecnym kształcie, wciąż niezmiennym przez nową ekipę?

### **Po pierwsze – nowoczesna forma**

To we współczesnych muzeach narracyjnych standard, ale wart odnotowania, ponieważ muzeum istotnie imponuje. Wystawa umieszczona jest głęboko pod ziemią, tylko w korytarzu bardzo wysoko na głowami zwiedzających światło wpada przez wąskie okna. Muzeum nie przytłacza, ale stwarza szczególną atmosferę, która przy tej właśnie opowieści jest nie tylko wskazana, ale może i niezbędna.

Stworzona od zera przestrzeń daje olbrzymie możliwości aranżacji i z tych możliwości skorzystano. Sale nie są jednakowe, każda ma formę odpowiednią

dla prezentowanych treści – od naturalnej wielkości makiety przedwojennej polskiej ulicy (jedno z miejsc robiących największe wrażenie), poprzez salę kinową, gdzie pokazywany jest film o sowieckiej okupacji, na niewielkich pokojach skończywszy, w których obok obejrzenia paru ekspонатów można posłuchać wspomnień uczestników różnych wydarzeń.

Muzeum zgromadziło do dziś ponad 40 tys. eksponatów, z których pokazywanych jest zaledwie około 2 tysięcy. To wynika z oszczędnej formy prezentacji (tak działają nowoczesne muzea), ale też zwiedzający nie przyjęliby większej liczby informacji. Przejście kilkunastu sal i tak dostarcza ogromnej liczby wiadomości i różnego rodzaju impulsów.

Widać przy tym ogromny wysiłek autorów scenariusza wystawy, żeby informacje były zarazem pełne i skrótowe, wyczerpujące, ale też czytelne i możliwie lakoniczne. Trudno to pogodzić, ale w większości przypadków się udaje. Nie byłoby to możliwe bez zastosowania nowoczesnych środków muzealnych. Dobrze wykorzystano interaktywne systemy. Chwali się, że w całym muzeum oparte są na tym samym interfejsie. Każdy punkt i ekspонат jest opisany po polsku i angielsku. W obu wersjach językowych są też wszystkie materiały multimedialne.

Jeśli do czegoś można się przyczepić, to do zbyt oszczędnego schematu nawigacji po wystawie – niektórzy mogą mieć problem z odnalezieniem drogi lub tego, co ich szczególnie interesuje – oraz do braku Wi-Fi, co we współczesnym świecie niezwykle ważne. To wyzwanie dla nowego kierownictwa – aż się prosi, żeby poprowadzić zwiedzających za pomocą aplikacji na telefony komórkowe.

To jednak wszystko detale techniczne. Teraz sprawy ważniejsze.

## Po drugie – nie polska, ale globalna perspektywa

To nie jest muzeum stawiające na polski punkt widzenia. I nie jest to zarzut. Takie było założenie jego twórców: opowiadamy o drugiej wojnie światowej jako wydarzeniu, które dotknęło cały świat i zmieniło go na zawsze. Nie opowiadamy głównie o Polsce w czasie drugiej wojny (choć o niej także), ale o całym świecie. Owszem, Polska dostaje mimo wszystko uprzywilejowane miejsce, ale dostaje je głównie dlatego, że była wyjątkowa z czysto faktograficznego punktu widzenia. Na przykład osobna sala, w której jedną ze ścian zajmuje schemat organizacyjny Polskiego Państwa Podziemnego, należy się nam, bo tylko w Polsce taka struktura działała.

## Wbrew obawom i oskarżeniom muzeum nie relatywizuje winy za rozpętanie konfliktu ani za zbrodnie

Uważny zwiedzający bez trudu wychwyci też porażającą różnicę pomiędzy ciężarem okupacji w Polsce a w krajach takich, jak Dania, Holandia czy Francja. Wychwyci także ogromną różnicę w skali i sposobie zorganizowania ruchu oporu. Pod tym względem muzeum w dyskretniej i nienachalnej formie przemycą ważną dla nas informację, która dla wielu zagranicznych gości może być nowością.

Taka perspektywa daje możliwość dowiedzenia się czegoś nowego nawet tym, których wiedza o czasie wojny jest

więcej niż pobieżna. Ten sposób pokazywania wojny przypomina, że to także gehenna Chińczyków, brytyjskich żołnierzy w japońskich obozach czy Holendrów w Indiach Wschodnich. Że w niemieckich „obozach” pod gołym niebem masowo umierali sowieccy jeńcy, a przymusowymi robotnikami w Niemczech byli także uczestnicy hiszpańskiej wojny domowej ze strony republikańskiej.

Ale jest też głębsza korzyść z takiego sposobu opowiadania historii. Nasza historia – opowieść, którą o wojnie chcemy przekazać innym my, Polacy – będzie atrakcyjna dla tych, którzy Polakami nie są i zapadnie im w pamięć, jeśli nie będą mieli wrażenia, że są poddawani indoktrynacji, ale też jeśli odnajdą w niej wątki nawiązujące do ich własnej historii, do ich własnych przeżyć. I to się w gdańskim muzeum chyba udało.

## Po trzecie – nie ma relatywizacji

Wbrew obawom i oskarżeniom muzeum nie relatywizuje winy za rozpętanie konfliktu ani za zbrodnie. Winni są jasno wskazani już na samym początku. Autoritarne systemy – narodowosocjalistyczny, komunistyczny, faszystowski i japoński – są pokazane już w pierwszych salach.

Zarazem muzeum pokazuje wojnę również przez pryzmat indywidualnych cierpień ludzi, niezależnie od tego, czy mieszkali w krajach napadniętych czy atakujących. Podsumowanie ofiar bombardowań mówi też o alianckich atakach dywanowych między innymi na Drezno – i tego wymaga uczciwość historyczna. Podobnie jak wymaga opowiedzenia o tragedii „Gustloff” i o tym, że sowiecki kapitan, który zatopił niemiecki statek z uciekinierami, był wiele razy karany alkoholem.



Nie odniosłem jednak wrażenia, aby w którymkolwiek momencie te osobiste historie zaciemniły większy obraz i sprawiły, że zapominamy, kto był winny również tym cierpieniom. Nie ma więc mowy o realizacji taktyki, którą przyjął już dawno niemiecki Związek Wypędzonych (nie ma winnych, są tylko indywidualne ofiary). Jest natomiast konsekwentne podążanie za Mackiewiczowym mottem, iż tylko prawda jest ciekawa.

### Po czwarte – ludzkie historie

Indywidualne doświadczenia są siłą muzeów narracyjnych. W Gdańsku jest ich mnóstwo i są one różne. Wiele relacji mrozi krew w żyłach, ale są też opowieści pokazujące, że rzeczywistość była złożona. Znajdziemy zatem straszliwe relacje więźniów obozów koncentracyjnych i ofiar sowieckich deportacji, ale też zdjęcie pokazujące przymusową robotnicę ze wschodu ze swoją niemiecką dysponentką, która była dla dziewczyny jak siostra. Jest też relacja Niemki, która przeżyła „wyzwolenie” Gdańska przez sowieckich żołnierzy i której koleżanki oraz członkinie rodziny padły ofiarą brutalnych gwałtów „oswobodzicieli”.

Zarazem jednak zadbano, aby takie historie zostały umieszczone w kontekście. Objasnienia mówią o tym, co było normą, a co odstępstwem od niej. Nie zaciemniają zatem większego obrazu.

### Po piąte – prawda ponad wszystko

Nawet jeśli nie pasuje do wizji narodu bez skazy. Czy granatowi policjanci wysługiwali się Niemcom? Tak, choć było w tej formacji również wielu, którzy z narażeniem życia działali w ruchu oporu oraz pomagali Żydom. Gdy Niemcy zażą-

dali, aby policjanci czynni w policji przedwojennej pozostali w służbie, podziemie nakazało im stanowczo, żeby tak właśnie uczynili. Czy zwłaszcza na początku okupacji Polacy pisali do niemieckich władz donosy, za pomocą których chcieli się pozbyć nielubianych sąsiadów, krewnych, współpracowników? Tak, niestety, choć to mało znany i zapomniany wątek. Ale istniał. Większość takich listów przechwytywali na szczęście działający w podziemiu pocztowcy – chwała im za to. Czy pewna,

**Czy to oznacza, że nie ma w Muzeum Drugiej Wojny Światowej niczego do poprawienia? Tam, gdzie Polska ma się czym pochwalić, warto wzmocnić przekaz**

niewielka szczęśliwie liczba mieszkańców Podhala zdecydowała się podjąć ofertę stworzenia *Goralenvolku* podsunętą przez Niemców? Tak, niestety, choć nie udało się Niemcom nigdy powołać nawet najmniejszej formacji złożonej z Polaków. I był to jedyny przykład zorganizowanej polskiej kolaboracji z niemieckim okupantem.

I tak dalej, i tak dalej. Wszystkie te kwestie są prawdziwe, choć dla nas bolesne i niewygodne. Ale miały miejsce. Muzeum traktuje te wątki uczciwie i – jakkolwiek zwolennikom „rewolucyjnej” wizji polityki historycznej może to nie odpowiadać – należy je za to docenić. Ale i za to, że wszystkie te opowieści są umieszczone w kontekście wskazującym ich faktyczną wagę.

## To nie ideał

Czy to oznacza, że nie ma w Muzeum Drugiej Wojny Światowej niczego do poprawienia? Czy nigdzie nie należałoby inaczej rozłożyć akcentów? Bynajmniej.

Tam, gdzie Polska ma się czym pochwalić, warto wzmocnić przekaz. Jan Karski ma swoje własne „stanowisko” multimedialne, niedaleko w kącie (naprawdę schowanym) swoje miejsce ma Irena Sendlerowa. Tych dwoje mogłoby zajmować zdecydowanie bardziej wyeksponowane miejsce. Wspomniany przez dr. Szarka rotmistrz Pilecki pojawia się faktycznie epizodycznie w wątku obozów koncentracyjnych. Nie jest to powód do ciskania gromów, jak to czynił prezes IPN, bo z punktu widzenia logiki wystawy jest to całkowicie zasadne. Ale i jego można by lepiej pokazać, zwłaszcza że jest postacią wyjątkową. Być może warto zebrać te trzy osoby – Karskiego, Sendlerową i Pileckiego – w jednym miejscu i poświęcić im bardziej wyeksponowane miejsce jako tym, którzy dokonali rzeczy wyjątkowych w skali całego światowego konfliktu?

Problematyczny jest też niezwykle czuły wątek ludności żydowskiej na ziemiach przechodzących z rąk sowieckich w niemieckie. Faktem bezsprzecznym jest, że ludność żydowska w wielu miejscach witała Sowieców entuzjastycznie (możemy o tym przeczytać między innymi w prozie Józefa Mackiewicza) i chętnie uczestniczyła w systemie przez nich wprowadzanym. Faktem jest też, że po niemieckiej agresji na ZSRS i przejściu tych terenów przez Niemców odruchy zemsty na Żydach były spowodowane ich wcześniejszą postawą. Muzeum o tym mówi, ale udział ludności żydowskiej w sowieckim aparacie opresji czy po prostu jej entuzjazm wobec so-

wieckiej okupacji jest prezentowany w zbyt warunkowej formie, tak jakby nie był bezsprzeczną prawdą historyczną, a jednym z wariantów zdarzeń. Obiekcje może też budzić umieszczenie historii z Jedwabnego, opowiedzianej w jednoznacznej wersji polskiego sprawstwa, wśród kilku przykładów pogromów z różnych regionów.

Jest wreszcie prozaiczny, ale przecież jak najbardziej realny, problem zmęczenia zwiedzających i ich zdolności percepcji. W miarę zwiedzania ta ostatnia słabnie, a właśnie wtedy pojawia się opowieść o Polskim Państwie Podziemnym, później o Żołnierzach Niezłomnych, a wreszcie, na samym końcu, o nierozliczonych zbrodniach i zbrodniarzach. Jak ten problem rozwiązać – trudno powiedzieć, bo też dla opowieści, jaką przedstawia gdańskie muzeum, trudno znaleźć inny układ niż istniejący, chronologiczny.

Co się stanie z Muzeum Drugiej Wojny Światowej – nie wiadomo. Nowy dyrektor kieruje placówką zaledwie od dwóch miesięcy. Na razie w holu, z którego wchodzi się na główną wystawę, ustawiono plansze opowiadające o życiu i czynach Witolda Pileckiego.

Wystawa nie jest z pewnością perfekcyjna i nawet gdyby szefem muzeum był nadal Paweł Machcewicz, z pewnością wprowadzałby do niej poprawki i modyfikacje. Jeśli obecny dyrektor wybierze taką drogę – to dobrze. Jeśli zdecyduje się na radykalną przebudowę wystawy, całkowitą zmianę koncepcji, zwłaszcza pod dyktando radykałów, żądających wdrożenia najbardziej tępej, łopatologicznej i propagandowej wersji opowieści – zniszczy coś, co bez wątpienia stanowi dużą wartość: kapitał bardzo profesjonalnie i atrakcyjnie opowiedzianej historii z polskim wątkiem.

## „NK” w potrzebie!

„Nowa Konfederacja” znalazła się w trudnej sytuacji finansowej, w związku z utratą kilku Darczyńców.

Koszty działalności „NK” obejmują wynagrodzenia za: artykuły, redakcję, korektę, grafikę, księgowość, obsługę informatyczną, skład.

### Jeśli cenisz „NK” – wesprzyj ją!

Podstawą istnienia miesięcznika są stałe, comiesięczne darowizny. Nawet jeśli są niewielkie, dają poczucie stabilności i pozwalają planować aktywność.

Darowizny prosimy kierować na rachunek bankowy wydawcy „Nowej Konfederacji”, Fundacji Nowa Rzeczpospolita: **09 1560 0013 2376 9529 1000 0001** (Getin Bank). W tytule przelewów najlepiej wpisać: „darowizna”. Jeśli zamierzają Państwo wspierać nas stale, bardzo prosimy o tytuł przelewu: „stała darowizna”.

**Dlaczego warto nas wesprzeć?** Przynajmniej z sześciu powodów:

1. „NK” jest próbą **stworzenia niskokosztowej poważnej alternatywy dla upadających – finansowo i intelektualnie – mediów głównego nurtu**. Stąd także nowy model pozyskiwania funduszy – poprzez mecenat obywatelski.

2. **Dostajemy wiele sygnałów, że udaje nam się realizować założone cele**: poważnie debatować o państwie i polityce, transmitować do szerokiej publiczności ważne idee naukowe i eksperckie, aktualizować polską tradycję republikańską. Sygnały te płyną zwłaszcza od przedstawicieli inteligencji.

3. Począwszy od października 2013 r., **udaje nam się regularnie publikować kolejne numery „NK”, poruszając tematy tyleż ważne, ile nieobecne w debacie**, jak np. neokolonizacja Polski, przebudowa globalnego ładu politycznego czy władza sondaży.

4. **Mamy wpływ na kształtowanie opinii, zwłaszcza elit**. Czyta nas 15–20 tys. osób miesięcznie, regularnie występujemy w telewizji, inspirujemy inne media do podejmowania wprowadzanych przez nas tematów, nasze artykuły są chętnie przedrukowywane przez popularne portale.

5. Wsparcie „NK” to także **wsparcie młodego – prawdziwie niezależnego i mającego odwagę płynąć pod prąd – ośrodka i środowiska intelektualnego**, niepoddającego się wszechobecnemu marazmowi i starającego się powoli budować lepszą Polskę.

6. **Darowizny na rzecz fundacji są w Polsce (art. 16 ustawy o fundacjach) zwolnione z podatku. Co więcej, podlegają odliczeniu od podatku** zarówno przez osoby fizyczne, jak i prawne, zgodnie z przepisami ustaw o podatku dochodowym od osób fizycznych i prawnych.

## O nas

„Nowa Konfederacja” to pierwszy w Polsce internetowy miesięcznik idei. Koncentrujemy się na tematyce politycznej o znaczeniu strategicznym. „NK” to medium misyjne, tworzone przez obywateli – dla obywateli. Jako pierwsi w Polsce działamy profesjonalnie wyłącznie dzięki wsparciu Darczyńców.

Stawiamy sobie **trzy cele główne.**

### **Po pierwsze, chcemy tworzyć miejsce poważnej debaty o państwie i polityce.**

Dziś takiego miejsca w Polsce brakuje. Wskutek postępujących procesów tabloidyzacji oraz uzależnienia mediów opiniotwórczych od partii i wielkiego kapitału, brak ten staje się coraz bardziej dotkliwy.

Stąd, w środowisku skupionym dawniej wokół kwartalnika „Rzeczy Wspólne” – poszerzonym po rozstaniu z Fundacją Republikańską w kwietniu 2013 o nowe osoby – powstał pomysł stworzenia internetowego tygodnika/miesięcznika idei. Niekomercyjnego i niezależnego medium, wskrzeszającego formułę głębokiej publicystyki. Mającego dostarczać zaawansowanej wiedzy o polityce w przystępnej formie.

### **Nasz drugi cel to pełnienie roli pośrednika między światem ekspercko-akademickim a medialnym.**

Współczesna Polska jest intelektualną półpustynią: dominacja tematów trzeciorzędnych sprawia, że o sprawach istotnych mówi się i dyskutuje rzadko, a jeśli już, to zazwyczaj na niskim poziomie. Niemniej w świecie akademickim i eksperckim rodzą się niekiedy ważne diagnozy i idee. Media głównego nurtu przeważnie je ignorują. „Nowa Konfederacja” – ma je przybliżyć.

### **Cel trzeci to aktualizacja polskiej tradycji republikańskiej.**

Republikanizm przyniósł swego czasu Polsce rozkwit pod każdym względem. Uważamy, że jest wciąż najlepszym sposobem myślenia o polityce – i uprawiania jej. Co więcej, w dobie kryzysu demokracji, jawi się jako zarazem remedium i alternatywa dla liberalizmu. Jednak polska tradycja republikańska została w dużym stopniu zapomniana. Dążymy do jej przypomnienia i dostosowania do wymogów współczesności.

**Dlaczego konfederacja?** Bo to instytucja esencjonalna dla polskiej tradycji republikańskiej – związek obywateli dążących razem do dobra wspólnego w sytuacji, gdy inne instytucje zawodzą. W naszej historii konfederacje bywały chwalebne (konfederacja warszawska 1573 r., sejmy skonfederowane jako remedium na liberum veto), bywały też zgubne (Targowica). Niemniej, zawsze były potężnym narzędziem obywatelskiego wpływu na politykę.

### **Dzisiejszy upadek debaty publicznej domaga się nowej konfederacji!**

## „Nową Konfederację” tworzą

### **Stali Darczyńcy:**

Stu Dwudziestu Sześciu Anonimowych Stałych Darczyńców, Paweł Gałus, Bartłomiej Kachniarz, Piotr Kubiak, Michał Macierzyński, Jerzy Martini, „mieszkaniec Bytomia”, Jakub Stychno, Skryta Opcja Sarmacka, Marcin Sławeta, Michał Kocur, Remigiusz Iwuć, Piotr Ogiński, Szymon Radziszewicz, Krzysztof Szatan.

### **Pozostali Darczyńcy:**

Stu Osiemdziesięciu Czterech Anonimowych Darczyńców, Jacek Bartosiak, Piotr Remiszewski, Piotr Woźny, Andrzej Dobrowolski, Krzysztof Poradzisz, Marek Nowakowski

(Lista Darczyńców jest uaktualniana na początku każdego miesiąca)

### **Redakcja:**

Anna Kiljan (sekretarz), Bartłomiej Radziejewski (redaktor naczelny), Stefan Sękowski (zastępca redaktora naczelnego), Krzysztof Rak

**Redaktorzy prowadzący:** Stefan Sękowski, Anna Kiljan

### **Stali współpracownicy:**

Jacek Bartosiak, Michał Beim, Tomasz Grzegorz Grosse, Maciej Gurtowski, Bartłomiej Kachniarz, Krzysztof Koehler, Andrzej Mańnica, Rafał Matyja, Agnieszka Nogal, Tomasz Pichór, Adam Radzimski, Zbigniew Stawrowski, Krzysztof Wołodźko, Piotr Woyke, Michał Lubina

**Grafika (okładki):** Kinga Promińska

**Korekta i redakcja stylistyczna:** Sylwia Pikula

**Skład:** Rafał Siwik

**Wydawca:** Fundacja Nowa Rzeczpospolita

**Kontakt:** redakcja@nowakonfederacja.pl

### **Adres (wyłącznie do korespondencji):**

Fundacja Nowa Rzeczpospolita, Al. Solidarności 115, lok. 2, 00-140 Warszawa